№ 9. Warszawa, dnia 27 (15) Lutego 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Tom III *Szkiców* Prusa wyszedł i zawiera powieść p. t.: „Anielka." (Chybiona powieść.)

POLITYKA.

PRAWO JĘZYKOWE.

Jak niepewny swych praw krewniak nakłania przed śmiercią bogatego stryjaszka do zrobienia na jego korzyść testamentu, albo raczej — jak nieślubna przyjaciółka zachęca swego dobrodzieja do uprawnienia związku, tak niemcy austryaccy chcieli uzyskać od parlamentu uroczyste przyznanie przywilejów dla ich języka — przywilejów, których faktycznie używają. W tym celu lewica wystąpiła z odpowiednią ustawą, która przepadając w głosowaniu, pozostawi znamienny dowód wiary w nietrwałość obecnych stosunków politycznych Austryi i przewagi żywiołu niemieckiego. Chociaż ten śnieg w ogniu parlamentarnym stopnieje, obejrzmy jego kryształki.

Projekt tedy żąda przedewszystkiem uznania języka niemieckiego za państwowy, wyłącznie używany w urzędach, sądach i wszelkich instytucyach władzy wyższej. Zalecono tylko, ażeby nieznającym go okazywano stosowną pomoc. Dalej miał on być formą wykładów szkolnych, lub—obok krajowego — obowiązującym ich przedmiotem. Przy wszelkich egzaminach państwowych i uzyskiwaniu świadectw ukończenia wyższych zakładów naukowych zastrzeżono także gruntowną znajomość niemczyzny, od której zależałoby i otrzymanie jakiejkolwiek posady. Naturalnie w Radzie państwa i w Delegacyach zapewniono dotychczasowe panowanie językowi niemieckiemu bezwarunkowo.

Za języki krajowe uznano: niemiecki — w arcyksięstwie austryackiem, Styryi, Karyntyi, Krainie, Tyrolu, Tryeście, Czechach, Morawach, Szląsku i Bukowinie; czeski—w Czechach, Morawach i Szląsku; polski — w Galicyi i Szląsku; rusiński— w Galicyi i Bukowinie; słowieński— w Styryi, Karyntyi, Krainie, Tryeście, Gorycyi i Istryi; serbo-kroacki — w Dalmacyi i Istryi; włoski — w Tryeście, Gorycyi, Istryi, Tyrolu i Dalmacyi; rumuński — w Bukowinie. Wszelkie ogłoszenia urzędowe miały być podawane w języku państwowym i tym, którego dana miejscowość używa. Toż samo dotyczyłoby drukowanych odezw partyj. W sądownictwie akty oskarżenia, wnioski i wyroki, oraz badania ustąpiono językom krajowym.

Nie przytaczamy dalszych przepisów niemieckiej utopii, która wzbogaci zapasy parlamentarnej makulatury, gdyż jako pobożne życzenie szczegółowo ona nas zajmować nie może, a jako polityczne szydło dostatecznie wyłazi ze swego worka. Przedewszystkiem zauważyć należy, że zamierzona ustawa wprowadziłaby do istniejących obecnie stosunków bardzo niewielkie zmiany. Jej twórcom szło głównie o to, ażeby przewaga języka niemieckiego została wzmocnioną wyraźnem prawem, aktem osobno zaprzysiężonym. Akt taki przywróciłby niemczyźnie gasnący urok, podniósłby ją na tę wyżynę, z której ona z dumą i wzgardą spogląda na coraz mniej pokorne gwary słowiańskie; następnie posłużyłby za podstawę do narzucania „kultury." Pamiętajmy bowiem, że oprócz Gorycyi, Istryi, Dalmacyi i Galicyi, we wszystkich innych krajach Austryi język niemiecki postawiony został obok innych jako „krajowy." W każdym niemal okręgu tych krajów, przy odpowiedniem staraniu władz, mógłby on, wyszrubowany jako organ większości lub jako przedmiot nauki obowiązkowej, występować. W połączeniu zaś z siłą swego przywileju może on odnosić łatwe nad innymi tryumfy. Nadużycia dzieją się i obecnie, ale nie mają przynajmniej takiego pancerza prawnego, jaki uzyskałyby w nowej ustawie.

Gazety niemieckie dziwiły się sile oburzenia prasy słowiańskiej na ten zamiar lewicy, „porządkujący" tylko i „uprawniający" położenie dotychczasowe. Tylko „uprawniający"—bagatela! Ludy słowiańskie w monarchii austryackiej mogą długo jeszcze cierpieć panowanie grzyba niemieckiego na ich pniach, ale nie mogą utrwalać jego hegemonii i muszą wierzyć, że prędzej czy później będzie on oddarty od ich łona. Zwłaszcza teraz, w epoce rozwoju ciał politycznych samorządnych, w okresie przemiany państwa uciskiem zjednoczonego na federacyę grup narodowych, zamach wrogi temu procesowi jest dziwnie zuchwałym, a tych, przeciw którym był wymierzony, oburzył. Rozgniewał najbardziej czechów, jako gęsto z niemcami pomieszanych a przytem szybko idących ku względnej niepodległości. Oni też z całą energią i zgrozą uderzyli na ów projekt, który usiłował zbałamucić ich niewinnymi pozorami. W pismach czeskich powstała wrzawa, której nawet może niemcy nie przewidywali, a która odrazu odsłoniła cel manewru.

Przemykająca się po pismach chyłkiem wieść głosi, że do obalenia go pomogą słowianom klerykali niemieccy za cenę wzajemnej usługi przy nowej ustawie szkolnej, którą w swoim duchu obrabiają. Jeżeli wieść ta jest prawdziwą, powtórzy się znowu jeden z tysiąca smutnych wypadków, w których słowianie bronią się politycznie ofiarami cywilizacyjnemi. Co tu jest większem: strata, czy korzyść — nieraz orzec trudno, ale często zamiana siekierki na kijek nie ulega wątpliwości. Wykazaliśmy już niejednokrotnie opłakane skutki przymierza słowian, a zwłaszcza

polaków z żywiołami wstecznymi. Związek ten bywa konieczny, ale bywa także niepotrzebny, podyktowany jedynie przez nieudolność ubogą w pomysłach i lenistwo chętnie depczące po utartych gościńcach. Co innego spółka, a co innego małżeństwo. Galicyanie zaś (których tu szczególnie mamy na względzie) wziąwszy raz ślub z prawicą niemiecką, boją się pomyśleć o rozwodzie z nią, nawet o seperacyi i co najwyżej podejmują kłótnie domowe. Ona zaś, ufając wierności potulnego towarzysza, wyzyskuje jego uległość aż do bezczelności. Niemal na wszystkich prawach wstecznego kierunku spoczęła ręka polska nie z przekonania, ale z solidarności, z obawy utracenia korzystnego sojuszu. Przypuszczać więc wolno, że i wzmiankowana ustawa szkolna pozyska tę rękę za poparcie w sprawie projektu językowego. Jak przykrym, upokarzającym i w wielu względach zabójczym jest taki stosunek, w którym każdą wygranę słusznego procesu okupić trzeba popełnieniem niecnoty — zrozumieć łatwo.

ROSYA I ANGLIA*).

Książka Ugénego, w drugiem wydaniu świeżo puszczona, drugą połową tylko usprawiedliwia swój tytuł. O Rosyi bowiem mówi okolicznościowo, jedynie, na kilkudziesięciu stronicach, polemizując z Dixonem i Grenville-Murrayem, dwoma autorami angielskimi, którzy jednocześnie prawie pisali w tym przedmiocie. O Anglii natomiast mieści dużo ciekawych danych, tem cenniejszych, że Ugény dodatnie strony charakteru angielskiego kreśli na podstawie własnego doświadczenia, o cieniach zaś tego charakteru każe mówić samym synom Albionu. W każdym brytańczyku, zdaniem Ugénego, odnaleźć można dwie istoty: człowieka i anglika. Pierwszy może być łagodnym, dobrym, szlachetnym, dobroczynnym, sprawiedliwym, bezstronnym, prawdomównym, budzącym zaufanie, wogóle ze wszech miar zasługującym na szacunek. Skoro jednakże ten sam człowiek musi się zetknąć z anglikiem, to jest skoro znajdzie się oko w oko z cudzoziemcem, wnet zniknął w nim wszelkie cechy ludzkie; szorstki i nieubłagany aż do okrucieństwa, depcze nogami wszelkie prawo, a kłamstwo i przeniewierstwo, chciwość i łupieztwo tak oczywiście w nim występują na jaw, iż mamy przed sobą istotę jakąś zagadkową, której przyglądamy się ze zdumieniem i zgrozą, ale którą pojmujemy z trudnością. „W angliku —powiada— najdziwaczniejsze łączą się sprzeczności; jest on zupełnie do niepoznania stosownie do tego, czy go widzimy w domu, w kole rodzinnem, pomiędzy współobywatelami, czy też z drugiej strony kanału lub oceanu w zetknięciu z cudzoziemcami.“

Rozwijając i popierając dowodami ten pogląd, zastanawia się najprzód nad zasadą równości wobec prawa, istotnie jedną z najwspanialszych zdobyczy narodu angielskiego. Ale cóż, kiedy anglicy zasadę tę stosują tylko u siebie i względem swoich. Według słów *Timesa*, jedną z przyczyn, wywołujących w Chinach nienawiść przeciwko anglikom, jest okoliczność, że ci ostatni rozpędzają kijami krajowców, którzy przy spotkaniu na ulicy niedosyć prędko im ustępują z drogi. Layard zaś, który w r. 1858 wysłany był do Indyj dla zbadania powodów ówczesnego powstania w raporcie swoim pisał: „Z krajowcami nie obchodzą się jak z ludźmi, ale jak ze zwierzętami; na dowód przytoczę fakt, że we wszystkich hotelach indyjskich widziałem plakaty, w których goście z Europy proszeni są, aby zbytnio nie dręczyli służby, czyli po prostu nie bili jej, co jest zjawiskiem codziennem.“ Podobnież ma się rzecz ze swobodą prasy i słowa. Podczas kiedy anglikowi wolno pisać i mówić, co mu się podoba, np.: o obaleniu monarchizmu i władzy królewskiej, o zniesieniu chrześciaństwa lub religij wogóle, o zniesieniu małżeństwa itp., dla mieszkańców kolonij angielskich, a w szczególności dla cudzoziemców, wolność ta w rozmaity sposób, często przez proste zakazy administracyjne zostaje ograniczaną. Kiedy w czasie odwiedzin królowej Wiktoryi Napoleon III pocałował ją w twarz przy powitaniu, wszystkie dzienniki angielskie z oburzeniem wyrażały się o tym pocałunku, skoro jednak i Wiktor Hugo wdał się w ocenienie tego niewłaściwego postąpienia, zwołano meeting i zmuszono autora *Nędzników* do opuszczenia wyspy Jersey i przesiedlenia się do Guernsey.

„Pieniądz... to potęga, oto — powiada Ugény — jest dogmat, w który niewzruszenie wierzą anglicy i który starają się urzeczywistniać przez życie całe. Podobnie, jak dobrze jedzą, żeby być w stanie dzielnie pracować i pracują dużo, żeby módz dobrze jeść — tak samo dążą do pieniędzy, żeby zyskać potęgę, a do potęgi, żeby zdobyć pieniądze. Nie są oni ideologami, którzy zadawalają się suchymi wawrzynami i sławą nieprodukcyjną, którzy dla idei gotowi są marnować krew swoją lub ciężko zapracowane pieniądze. Wszelki wydatek musi im coś przynieść w zamian; wszystko jedno, w ten lub ów sposób, zaraz czy w przyszłości; życie jest dla nich kapitałem zakładowym, który musi o ile możności przynosić wysokie i pewne procenty.“

Jednym z najpiękniejszych rysów charakteru angielskiego jest wstręt do kłamstwa. Prawda wszakże i uczciwość znikają niebawem, gdy rzecz dotyczy cudzoziemców. Wszystko, co kiedykolwiek powiedziano o „wierze punickiej“ i o wiarołomstwie ludów wschodnich — niczem jest w porównaniu z ową *perfidie anglaise*, na którą tak gorzko uskarżał się Napoleon. Świadczy o tem cała historya angielska, a John Bright słusznie powiedział na jednem ze zgromadzeń w Manchester (11 lutego 1879 r.): „Rząd wielkie odnosi korzyści z potęgi kłamstwa.“

Dotykając kwestyi moralności politycznej angielskiej i ilustrując ją kilku przykładami, Ugény przywodzi następujące słowa *Timesa*: Nie podobna znaleźć miejsca od Tagu do Dardanelów, od Sycylii do przylądka północnego, gdziebyśmy uczynili cokolwiek dla zjednania sobie zaufania lub wdzięczności. Nie ma rządu w Europie, z którymbyśmy nie wszczynali zatargów, nie było powstania, któregobyśmy nie zdradzili. Bojownicy za niepodległość Włoch i Węgier, zaiste, nie winni nam wdzięczności za to, żeśmy ich podburzyli do powstania, a potem pozostawili własnemu ich losowi.“

Z tego samego stanowiska żywo i w sposób zajmujący rozpatruje autor następnie: rokowania dyplomatyczne, wojsko, postępowanie w Indyach, przez niektórych autorów zwane „czarnym rozdziałem historyi angielskiej“ (the black chapter of English

---

*) E. von Ugény. *Russland und England. Aussere und innere Gegensätze.* Lipsk, wyd. 2-e. str. 256.

POWIEŚĆ.

WARYAT

przez

Guy de Maupassanta.

Umarł jako prezes trybunału, urzędnik nieposzlakowany, którego nieskazitelne życie dawano za przykład wszystkim sądownikom. Adwokaci, mecenasi, jak również młodzi prawnicy chylili nisko głowy na znak głębokiego szacunku przed tym bladym i szczupłym mężczyzną o błyszczących i przenikliwych oczach.

Przepędził życie na ściganiu występku i zbrodni, a na otaczaniu opieką słabych i pokrzywdzonych. Oszuści i mordercy nie mieli groźniejszego nadeń prześladowcy, gdyż zdawało się, że czyta najtajniejsze myśli w głębi ich duszy i odkrywa za jednym rzutem oka najskrytsze zamiary.

Umarł więc w osiemdziesiątym drugim roku życia, otoczony czcią i żałowany przez całe miasto. Żołnierze w czerwonych spodniach odprowadzili jego zwłoki do grobu, a cały szereg mężów w białych krawatach wylewał nad trumną potoki słów rozpaczliwych i łez gorących, które wyglądały nawet na prawdziwe.

Tymczasem w biórku, w którem nieboszczyk chował akty wielkich zbrodniarzy, przerażony notaryusz znalazł szczególny papier, zatytułowany:

DLACZEGO?

20 czerwca 1851. Wychodzę z posiedzenia. Skazałem Blondela na śmierć. Dlaczego ten człowiek zabił pięcioro swoich dzieci? Dlaczego? Często spotyka się ludzi, doznających najwyższej rozkoszy w odbieraniu życia innym. Tak, tak, to musi być rozkosz, kto wie, czy nie największa, bo czyż *zabić* nie jest najpodobniejszem do *stworzyć*? Tworzyć i niszczyć! Te dwa wyrazy zawierają w sobie dzieje wszechświata, dzieje całej ziemi, wszystkiego co jest, tak, wszystkiego! Dlaczego zabijanie jest rzeczą tak upajającą?...

25 czerwca. Pomyśleć, że tam przedemną jest istota, która żyje, chodzi, biega... Istota? Co to jest istota? Rzecz żyjąca, mająca w sobie źródło ruchu i wolę kierującą tym ruchem! Rzecz ta nie ma spójni z niczem. Nogi jej nie są przytwierdzone do ziemi. Jest to ziarnko życia, poruszające się po powierzchni i to ziarnko życia, które się niewiedzieć skąd wzięło, można, jeżeli się chce, zniszczyć. Nastąpi rozkład, zgnilizna i na tem koniec.

26 czerwca. Dlaczego zabójstwo ma być występkiem? Tak, dlaczego? Kiedy przeciwnie, jest prawem natury. Posłannictwem każdego stworzenia jest — zabijać. Zabija, żeby żyć, zabija dla samego zabijania. To już leży w jego temperamencie; trzeba zabijać! Zwierzę zabija ciągle, codziennie, w każdej chwili swego istnienia. Człowiek przedewszystkiem zabija dla wyżywienia się, dla dogodzenia zaś uczuciu przyjemności, jakie mu sprawia zabijanie, wynalazł myśliwstwo! Dziecko zabija owady, ptaszki, każde zwierzątko, jakie mu wpadnie w rękę. Ale to wszystko nie wystarcza jeszcze tkwiącej w nas nieprzezwyciężonej potrzebie morderstwa. Niedosyć zabijać zwierzę, potrzebujemy także zabijać człowieka. Niegdyś zadawalano tę potrzebę ofiarami z ludzi. Dziś konieczne warunki życia społecznego uczyniły z morderstwa zbrodnię. Skazują i karzą zabójcę! Ponieważ jednak nie moglibyśmy wyżyć bez zadosyć uczynienia temu wrodzonemu i potężnemu instynktowi zadawania śmierci, przynosimy sobie od czasu do czasu ulgę wojnami, w których jeden naród wyrzyna drugi. Dopierożto wtedy ma miejsce krwawa pohulanka, którą z całem rozkiełznaniem rozkoszują się wojska, a następnie upajają mieszczanie, kobiety i dzieci, czy-

history), sposób prowadzenia wojny, kongres berliński, zdobycze w Afganistanie i Afryce i w końcu stosunek do Irlandyi. We wszystkich tych rozdziałach, a raczej oddzielnych szkicach, gdyż nie są ściśle związane z sobą, przytem takie mnóstwo szczegółów, tak barwnie umie je przedstawiać, iż książka jego z prawdziwą czyta się przyjemnością, nawet wtedy, gdy z niej wygląda tendencya.

Ugény podkreśla silnie niechęć anglików przeciwko grekom. „Zarzucają mi — czytamy w jednym z urzędowych dokumentów, zamieszczonym w zbiorze wydanym przez ministeryum angielskie — zarzucają, że wzmożona, pomyślnie rozwijająca się Grecya stałaby się strasznym współzawodnikiem dla handlu brytańskiego na Wschodzie. Otóż, wydaje mi się niepodobnem do wiary, aby ludzie w wolnej Anglii zrodzeni mogli walczyć tak niskiemi, tak przeciwnemi wszelkiemu uczuciu ludzkości zasadami, a jednak zarzut ten dosłownie prawie doszedł mnie z ust osób, które służą rządowi naszemu lub dobrze są widziane u dworu. Cyniczna to, dyabelska prawie polityka, chcieć poświęcać szczęście, dobrobyt, wolność paru milionów chrześcian dla tego, że gwoli hordzie nieokrzesanych dzikich wysnuło się tak zwaną jedność narodową, która nie ma najmniejszych podstaw historycznych.“ O stosunku do Irlandyi autor słusznie powiada: „Nie ma przykładu w dziejach, aby zwycięzcy i zwyciężeni, mówiący jednym językiem i wyznający tę samą religię, przeszło sześć wieków żyli z sobą i nie pojednali się, ani zasymilowali i aby nienawiść pomiędzy nimi wciąż taka była świeżą, jak w pierwszej chwili podboju. Tak jednak zachowywali się anglicy względem Irlandyi, systematycznie odcinając jej drogę do polepszenia bytu materyalnego, rabunek i zdzierstwa wciąż rozpoczynając na nowo. A szalone to postępowanie datuje się od roku 1108!“ „Dzisiejsza własność ziemska w Irlandyi — pisał Mill w dziele p. t. *Anglia i Irlandya* — jest prostym wytworem rabunku. Tylko natychmiastowe uwłaszczenie dzierżawców wiejskich zdolnem jest ocalić Irlandyę i uwolnić Anglię od hańbiącego położenia. Jeżeli nie przestaniemy uciskać Irlandyi, nietylko utrudnimy sobie wszelkie szanse na wypadek nieporozumień z innemi mocarstwami, lecz nadto znajdować się będziemy w stanie ciągłej rewolucyi i w końcu do wyswobodzenia Irlandyi z więzów zmuszeni zostaniemy, bądź nie mogąc znieść pogardy ogólnej, bądź ulegając jakiej potędze zwycięzkiej.“

Książkę swoją kończy Ugény uwagą, że każdy naród ma swoje błędy i niedostatki, oraz gdzie dużo światła, tam i cieni nie mało. Co zaś do anglików w szczególności, każdy wykształcony z pośród nich przyzna wytknięte słabe strony i wraz z poetą zawoła:

„England with all thy faults I love thee still.“

A. J. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Protest Rosyi przeciw ugodzie turecko-bułgarskiej dotyczy dwóch jej punktów: wzajemnej pomocy wojskowej w razie wojny i warunków mianowania księcia gubernatorem Rumelii. Porta zgadza się poczynić odpowiednie zmiany, tem bardziej, że będą one tylko formalnemi i nie przeszkodzą wcale zawarciu tajnego układu z księciem Aleksandrem, zyskuje zaś Turcya okrąg Rhodopu bardzo ważny dla niej ze względów strategicznych. Dla Bułgaryi jednak umowa nie jest tak korzystną, jak się spodziewano, i wywołała nawet oznaki niezadowolenia.

Układy pokojowe w Bukareszcie posuwają się powoli. Poseł serbski podczas rokowań oświadczył, że Serbia dlatego tylko wystąpiła przeciw Bułgaryi, iż sądziła, że rewolucya rumelijska wybuchła z namowy Rosyi. Obecnie wszakże, kiedy przekonano się w Belgradzie, że Bułgarya wyzwoliła się z pod obcych wpływów, serbowie przyjaznie zapatrują się na zjednoczenie pobratymców. Traktat pokojowy zawierać ma tylko oświadczenie, że obie strony wracają do dawnych stosunków przyjaźni i dobrego sąsiedztwa. Jeżeli dotychczas nie nastąpiło rozbrojenie, to dlatego, że nie wiadomo jeszcze, jaki obrót przyjmą wypadki. Ze strony serbskiej wyszło nawet oświadczenie, że rząd belgradzki chętnie przystąpiłby do związku drobnych państw pod przewodnictwem Turcyi na podstawie orzeczenia, iż Półwysep bałkański należy do zamieszkujących go ludów. Jest to pobożne życzenie, bo ani Rosya, ani Austrya na związek taki nie pozwolą.

Rząd grecki znajduje się w kłopocie niemałym: Europa zabrania mu wojować, opinia publiczna kraju domaga się znowu walki z Turcyą — pozostaje jedyna droga wyjścia — oczekiwanie do wiosny, w nadziei, że miłujący pokój opiekunowie sami się pobiją. Ale dla biednego państewka, które uzbroiło się za pożyczane pieniądze, takie wyczekiwanie jest zbyt kosztownem, musi więc Grecya w niedługim czasie zdecydować się tak lub owak. Naród nie pragnie wcale wojny, żądają jej tylko krzykacze ateńscy; trzecia część powołanych pod broń rezerwistów nie stawiła się wcale, ciekawem jest, że najwięcej zbiegów liczy okrąg.. spartański.

Wszystkie dzienniki półurzędowe zapewniają stanowczo, że pokój będzie utrzymany, coraz częściej jednak podają wiadomości, które co najmniej wątpliwość mogą budzić. Rząd austryacki np. wnosi do Rady państwa projekt organizacyi pospolitego ruszenia, które dotychczas istniało tylko na papierze a raczej w projekcie. Motywy wniosku wykazują dowodnie, że Austrya w porównaniu z innemi państwami posiada stosunkowo najmniej liczną armię zarówno na stopie pokojowej, jak i wojennej, bezpieczeństwo państwa wymaga więc utworzenia obrony narodowej. Może to być najzupełniej słusznem, ale dlaczego teraz dopiero sprawa ta weszła na porządek dzienny, dlaczego taki pośpiech w tworzeniu armii zapasowej? Dodać trzeba przy sposobności, że te armie krajowe nosić będą mundury narodowe i komenda odbywać się ma w języku miejscowym w każdej prowincyi.

Rozruchy ludowe powtórzyły się znowu w Londynie. 20 lutego socyaliści zwołali wielki meeting w Hyde-parku, na który zebrało się około 20,000 ludzi. Policya aresztowała jednego z mówców Burnsa, nie mogła jednak powstrzymać tłumu, który wtargnął do dzielnic zamieszkałych przez ludność zamożną. Liczne areszty, dokonane pomimo oporu ludu, nie zastraszyły burzycieli, tłuczenie szyb i rabowanie sklepów nie przybrało jednak takich rozmiarów, jak przed tygodniem. Na prowincyi ludność robotnicza burzy się także, policya zaś okazać się może bezsilną w razie gwałtownego wybuchu namiętności tłumu. Naczelnik policyi londyńskiej podał się do dymisyi, oświadczając, że powierzonych mu obowiązków należycie spełnić nie może, a nie chce narażać się powtórnie na zarzuty niedbalstwa i opieszałości.

Komisya parlamentarna francuska odrzuciła wniosek, postawiony przez odłam

---

tając wieczorem, przy świetle lampy, dosadne opisy rzezi.

Zdawałoby się, że przeznaczeni na sprawców tych jatek ludzkiej doznają pogardy. Bynajmniej. Obsypują ich zaszczytami! Ubierają w złoto i jaskrawe sukna; stroją na głowie w pióra, na piersiach przypinają ozdoby, dają im krzyże, nagrody, najrozmaitsze tytuły. Są dumni, szanowani, kochani przez kobiety, oklaskiwani przez tłum, dlatego tylko, że mają za zadanie przelewać krew ludzką! Ciągną za sobą po ulicach narzędzie śmierci, któremu przechodnie czarno ubrani przyglądają się z zazdrością. Bo zabijać jest potężnem prawem, wrzuconem przez naturę w serce żywej istoty! Nic nie ma piękniejszego i zaszczytniejszego nad zabijanie!...

30 czerwca. Zabijać jest prawem, bo natura lubuje się w wiecznej młodości. Zdaje się, jakby każdym swoim bezwiednym czynem wołała:

— Prędzej! prędzej! prędzej!

Im szybciej niszczy, tem się szybciej odnawia.

2 lipca. Człowiek — co to jest człowiek? Wszystko i nic. Myślą — jest odbiciem wszystkiego. Pamięcią i nauką — jest odłamkiem świata, którego dzieje nosi w sobie. Jako zwierciadło rzeczy i zwierciadło czynów, każdy człowiek jest małym światem wśród wszechświata!

Ale podróżujcie; przypatrzcie się natłoczonym jedna na drugiej, kłębiącym się rasom, a człowiek wyda się wam niczem, niczem, niczem! Wsiądźcie w łódkę, odpłyńcie od brzegu pokrytego tłumem, a wkrótce prócz wybrzeża nic nie ujrzycie. Człowiek znika, tak jest małym, nic nieznaczącym. Przejedźcie Europę pociągiem pospiesznym i wyglądajcie przez okno wagonu. Ludzie, ludzie, ludzie bez końca, niezliczeni, nieznani, rojący się na polach i ulicach; wieśniacy ograniczeni, niemający o niczem wyobrażenia, oprócz o przewracaniu pługiem roli, kobiety brzydkie, umiejące tylko rodzić i przyrządzać strawę dla mężczyzny. Udajcie się do Indyj, do Chin, a zobaczycie miliardy istot, które się rodzą, żyją i umierają, pozostawiwszy po sobie zaledwie tyle śladu, co mrówka zdeptana na drodze. Idźcie do kraju murzynów, gnieżdżących się w lepiankach z błota, do kraju arabów, żyjących pod płóciennymi namiotami, a zrozumiecie, że człowiek sam, oderwany, pojedynczy, jest niczem. Cóż może znaczyć jednostka jakiegoś naprzykład koczującego na pustyni plemienia? I ci ludzie, prawdziwi mędrcy, śmierć za nic uważają. Człowiek nie wchodzi u nich w rachunek. Zabija się swego nieprzyjaciela — od tego jest wojna. Niegdyś robiło się tak wszędzie, od krańca do krańca każdej prowincyi.

Tak, przebiegnijcie świat i przypatrzcie się niezliczonej ilości ludzi nieznanych. Nieznanych?... Ach! otóż i słowo zagadki! Zabić — jest zbrodnią, bośmy ponumerowali ludzkie istoty! Kiedy się rodzą, zapisujemy je, nadajemy im imiona, nazwiska. Prawo bierze je pod swą opiekę! Na tem rzecz cała polega! Człowiek nie wciągnięty na listę, nie liczy się: zabij go wśród pustyni lub gór, na stepie lub w wąwozie, nic ci nie będzie! Natura, lubująca się w śmierci, nie wymierza za nią kary!

Co jest, naprzykład, świętem — to stan cywilny! On to opiekuje się ludźmi! Człowiek jest nietykalny, bo wpisany do stanu cywilnego! Chylmy czołem przed stanem cywilnym, równym Bogu. Na klęczki przed nim!

Państwo może zabić, bo ono ma prawo zaprowadzać zmiany w stanie cywilnym. Kiedy kazało wyrżnąć dwieście tysięcy ludzi na wojnie, wykreśla ich z listy cywilnej i rzecz skończona. Ale my, my co nie możemy rozporządzać aktami urzędowymi, my musimy szanować życie. Stanie cywilny, wszechpotężne bóstwo, panujące w świątyniach urzędów municypalnych, składam ci hołd. Jesteś silniejsze od natury. Ach! ach!

3 lipca. Zabić! — to musi być ogromna i niezwykła przyjemność. Mieć przed sobą istotę żywą, myślącą, naraz zrobić w niej

stronnictwa radykalnego, żądający wydalenia z kraju pretendentów. Skład Izby deputowanych uległ dosyć ważnej zmianie, przy wyborach uzupełniających (wskutek unieważnienia pewnej liczby mandatów) republikanie pozyskali przewagę i opozycya monarchiczna liczyć będzie o 19 członków mniej, aniżeli rachowano w październiku r. z. Nie wiadomo z jakiego powodu: czy to z obawy, żeby go nie wydalono, czy też ot tak sobie—dla fantazyi, ks. Napoleon czyli t. z. Plon-Plon wystosował do Izby deputowanych list, w którym oświadcza, że uznaje Rzeczpospolitą jako prawną formę rządu, ponieważ stwierdziła ją wola narodu. Dzisiejsza respublika jest wszakże oligarchią i byłoby pożądanem, żeby prezydenta wybierał cały naród za pomocą głosowania powszechnego. Rozumie się, że rząd francuski nie zwróci uwagi ani na oświadczenie księcia, ani na jego rady.

ROZPRAWY W SEJMIE PRUSKIM.

Szybko przyszło pod obrady sejmu zapowiedziane przez Bismarka żądanie 100 milionowego kredytu na wykup ziemi polskiej w Poznańskiem. Obrady te prowadzone gorąco, nie zmieniły zupełnie wiadomego z góry ich skutku; przytoczymy je wszakże wstreszczeniu, ażeby czytelników zaznajomić z głównymi argumentami obu walczących stron.

Wierzbiński. Zabieramy głos nie w nadziei przekonania większości Sejmu, która pozostanie nieprzekonaną, ale raczej z obowiązku sumienia. Skoro raz rozkiełznano namiętności w tej, sztucznie inscenizowanej *Polenhecy*, to niepodobna z niemi walczyć, ani prawować się. Zresztą nie rozumiemy się i nie możemy się zrozumieć. Nawet najzaciętszy nasz wróg nie może nam wziąć tego za złe, że chcemy tem zostać, czem jesteśmy i że wszelkimi legalnymi środkami w najszerszych granicach staramy się narodowość naszą utrzymać. To przecież rzecz całkiem naturalna. Panowie wszelako nie chcecie tego pojąć, rozum rozumnych nie chce tego uznać. Po co zatem odpierać wszystkie te fałszywe twierdzenia, wszystkie fałszywe oskarżenia, które w ciągu dzisiejszych i jutrzejszych rozpraw się powtórzą, a w które panowie sami prawdopodobnie nie wierzycie? Po co wracać do owych anegdotek i bajeczek, które nam *ad hoc* sfabrykowane broszury z góry opowiadają, po co wchodzić w sztuczne motywy projektu, skoro panowie przy każdej sposobności nas dotyczącej samemi namiętnościami się kierujecie. Ten, który je wywołał, może od waszej gotowości wiele wymagać, pewnym będąc waszego zezwolenia, jak znowu ci, których on nienawidzi i zgubić pragnie, na wszystkie wybuchy jego gniewu i nienawiści przygotowani być muszą; ale wielki mąż stanu zapomina, rzucając nam swoje *pereat*, że gdybyśmy naprawdę umarli, jak to twierdzą, gdybyśmy moralnie i fizycznie naprawdę strupieszali, jak i to głoszą, gdybyśmy nie byli żywotnym organizmem, gdyby wielki mąż stanu sam nie przeczuwał, że prędzej czy później kwestya polska stać będzie na porządku dziennym spraw politycznych, pocóżby trzeba było tego politycznego i moralnego trupa prześladować z nienawiścią, stwierdzającą widocznie jego żywotność? Właśnie nienawiść tego wielkiego męża dowodzi, że żyjemy i żyć będziemy. Wobec tego gniewu i zaciekłości wszelako nie oddajemy się żadnym iluzyom. Wiemy bardzo dobrze, że stoimy wobec naturalnej potęgi, z którą równą bronią walczyć nie możemy. Wolno nam tylko powoływać się na zasady, idee, prawdy, które materyalna siła przedrwiwa i wyśmiewa, ale które mimo to prawdziwemi i moralnie nienaruszonemi pozostaną. Podeptana przez panów zasada narodowości pozostanie mimo to prawdą, do której ci sami we własnej obronie kiedyś odwoływać się będą, którzy dziś ją spotwarzają. Jedyną naszą winą jest, że żyjemy, że istniejemy; z tego istnienia robią nam zarzut grzechu, a z tej urojonej zbrodni wysnuwają wyrok śmierci. Możecie panowie takie postępowanie z waszem sumieniem i sprawiedliwością godzić, jak chcecie, — sąd przyszłości pozostanie niewątpliwym, a praktycznie utworzy się z tego prejudykat, który ważne konsekwencye przyniesie dla następców naszych. Świat cywilizowany mógłby mieć to złudzenie, że prześladowania ras i religii należą do historyi. Niestety, danem było państwu, stojącemu rzekomo na czele cywilizacyi, ową konieczność, ową ciemną stronę przeszłości, zamienić na smutną prawdę teraźniejszości; czy wszelako z moralną i materyalną korzyścią własnego narodu?... Jakiem prawem i z jaką konsekwencyą będą mogli np. niemieccy nauczyciele wszczepiać w serca swych uczniów uczucie litości dla wypędzonych z ich kraju Hugonotów albo Maurów; jak zdołają wywołać moralne oburzenie dla postępowania Filipa III-go, albo Ludwika XIV-go, jeżeli dziś każdy dziennik, każde sprawozdanie z obrad tej Izby ich pouczy, że w oświeconych Niemczech te wyjątkowe prawa, te środki banicyjne zastosowane były do całego narodu przy oklaskach parlamentów! Czyż to do moralnego wychowania ludu się przyczynia, czyż to nie psuje jego serc i umysłów, nie daje innym złego przykładu, nie rozbudza dzikich namiętności, które chrześciańska cywilizacya uważała za pokonane i usunięte? Tembardziej należy przypomnieć te ogólne zasady, że przedstawiony projekt jest wynikiem takich lekceważących dążeń.

Jeżeli chodzi o cywilizacyjne cele na drodze kolonizacyi i sprowadzanie z zewnątrz włościan i robotników, to właśnie nasi przodkowie świecili dobrym przykładem w tym względzie, sprowadzając ludność niemiecką do kraju, obdarzając ją przywilejami i prawami swojej ojczyzny. Działo się to w prawdziwie cywilizacyjnych zamiarach, ale nie tak, jak się to praktykowało za czasów Flotwella i jak się teraz ma praktykować w zamiarze zniszczenia i wytępienia całej narodowości. Źle się wypłacacie potomkom polaków za dobrodziejstwa, jakie przodkom niemców tak hojnie świadczyli (*Oho!*) — nie oho panie Tiedemann — a tem boleśniejszem i dotkliwszem się to staje, że się motywa nieistniejące w rzeczywistości fałszywie i tendencyjnie podsuwa.

Projekt mówi o postępie żywiołu polskiego ze wschodu na zachód, jak gdyby historya nie stwierdzała ciągłego posuwania się germanizmu z zachodu na wschód, ciągłego wypierania słowianizmu przez Niemców. Mówi dalej o zagrożonej kulturze niemieckiej. Prawdziwy rozwój kulturalny odbywa się sam z siebie; ta zaś kultura, która się posługuje środkami gwałtu, przestaje nią być i traci prawo do swojej nazwy. Zresztą tyle już mówiono i pisano o tej niższości kultury polskiej, tymczasem nagle dowiadujemy się o zagrożeniu przez nią tych samych, którzy się wyższością swojej zawsze przechwalali! Gdzie tu prawda?... W części wygląda to śmiesznie, a w części itd. (*Oho! po prawicy.*)

Słyszymy dalej o niebezpieczeństwie, grożącem Niemcom i Prusom z powodu istnienia polskiego żywiołu u wschodnich granic państwa. Żadnemu polakowi nie przyjdzie z pewnością do głowy chcieć utworzyć z Poznańskiego i Prus zachodnich osobne państwo, taka obawa mogłaby mieć jakąkolwiek podstawę, gdyby rzeczone prowincye polskie miały za sobą jakieś sympatyczne oparcie, jak np. Alzacya i Lotaryngia we Francyi, albo Szlezwig północny w Danii; ale z kimże granicą polskie ziemie? — Z państwem, które ich nie chce. Jedno z dwojga, albo Prusy są zaprzyjaźnione z Rosyą, a wówczas mniemane usiłowania polaków w celu oderwania się od Prus są postrachem na wróble, marą — albo też nie są zaprzyjaźnione, a w ta-

---

mały, maleńki otwór, z którego będzie wypływało to coś, co się krwią nazywa, a co stanowi życie i po chwili widzieć już tylko masę zimną, sztywną, pozbawioną myśli!

5 sierpnia. Gdybym też ja, co sądziłem, skazywałem, zabijałem jednem wyrzeczonem słowem; zabijałem z pomocą gilotyny tych, co zabijali nożem, gdybym też ja! ja! zrobił to, co robią wszyscy zabójcy, któżby się o tem dowiedział?...

10 sierpnia. Któżby mógł o tem wiedzieć? Czyżby posądzono mnie, mnie, tembardziej, gdybym wybrał istotę, w usunięciu ze świata której nie miałbym żadnego widocznego interesu?

15 sierpnia. Pokusa! Pokusa wcisnęła się wewnątrz mojej istoty i toczy ją jak robak. Pełza po całem ciele, wciska się do mego mózgu tak, że o niczem innem myśleć nie mogę, jak o zabójstwie; do moich oczu, które pragną przelać tylko na krew, widzieć tylko śmierć; do moich uszu, gdzie bezustanku słyszę coś nieznanego mi dotąd, strasznego, rozdzierającego, rozpaczliwego, jak ostatni krzyk ludzkiej istoty; do moich nóg, któreby chciały iść i iść naprzód, by jak najprędzej dojść na miejsce zbrodni; do moich rąk, drżących z pragnienia zabójstwa. Jakież to musi być uczucie rozkoszne, niezwykłe, godne człowieka wolnego, wyższego nad innych, umiejącego panować nad własnem sercem, goniącem za wyszukanemi wzruszeniami.

22 sierpnia. Nie mogłem już dłużej oprzeć się pokusie. Na próbę, na początek zabiłem ptaszka.

Mój służący Jan miał szczygła w klatce, wiszącej w oknie stołowego pokoju. Wysłałem go do miasta, a sam wyjąłem ptaka z klatki. Czułem bicie jego serca. Wszedłem do mego pokoju — ściskałem go coraz mocniej, serce biło mu coraz szybciej; było w tem coś strasznego i rozkosznego zarazem. O mało go nie zadusiłem, ale w takim razie nie byłbym widział krwi. Wziąłem więc nożyczki, krótkie nożyczki od paznokci i powoli przeciąłem mu trzykrotnie gardło. Otworzył dziobek, usiłował mi się wyrwać z rąk, ale go trzymałem, och! trzymałem całą siłą; byłbym utrzymał wściekłego brytana, by tylko krew zobaczyć. Jakiż to płyn piękny, czerwony, świecący i przezroczysty! Byłbym się go chętnie napił. Umaczałem nawet koniec języka. Doskonały. Ale biedny ptaszyna miał go tak mało, że nie mogłem do woli nasycić się tym widokiem. Patrzeć naprzykład na płynącą krew z byka, jakież to musi być wspaniałe!

Następnie zrobiłem tak, jak robią prawdziwi zabójcy. Umyłem nożyczki. umyłem ręce, wylałem wodę, a trupa zaniosłem do ogrodu, by go pogrzebać. Zakopałem go pod krzakiem poziomek. Nie znajdą go nigdy. Zjem codziennie jednę poziomkę z tego krzaka. Jak jednak można używać życia, jeśli się tylko umie go użyć!

Mój służący płakał; jest przekonany, że ptak uciekł. Bo czyż mógł posądzić mnie?! Ach! ach!

25 sierpnia. Muszę zabić człowieka. Muszę koniecznie!

30 sierpnia. Zabiłem. Jakaż to drobnostka!

Poszedłem na spacer do Vernes. Idąc przez las, nie myślałem o niczem, ale to o niczem. Wtem na drodze spotykam chłopczynę, zajadającego ze smakiem trzymaną w ręku kromkę chleba z masłem. Stanął, by mi się przypatrzeć i rzekł:

— Dzień dobry panu prezydentowi.

W tej chwili przeszło mi przez myśl:

— Gdybym go też zabił!

I odpowiedziałem:

— Jesteś sam mój chłopcze?

— Tak panie.

— Zupełnie sam w lesie?

— Tak panie.

Żądza zabicia go upajała mnie, jak wódka. Zbliżyłem się powoli, będąc pewnym, że zechce uciec. Chwyciłem go za gardło... ściskałem, ściskałem z całej siły! Patrzał na mnie przerażającemi oczami! Co za oczy! Okrągłe, głębokie, przezroczyste, straszne! Nigdy jeszcze nie doznałem wzru-

kim razie interes polityczny wymaga, nie zrażać sobie polaków i niezanieprzyjaźniać.

Prusy są, czy tam mają być państwem w najlepszem znaczeniu tego wyrazu na prawie oparłem. Niestety grunt prawny, na którym my stoimy, a także i inni, zachwiał się. Tak dalece idzie siła przed prawem, taka niepewność i niestałość na wszystkich polach publicznego prawa, nawet cywilnego, daje się dzisiaj uczuwać; tak poderwaną została wiara w niewzruszoność wszystkich dotąd za niewątpliwe uważanych podstaw i zasad, że nareszcie nie wiadomo, czy „prawu," o ile ono z siłą się nie łączy, pozostało jakie stałe i nietknięte oparcie.

Jeśli panowie wierzyć temu nie chcecie, to pytam, w jakiej zgodzie z artykułem 4-tym ustaw konstytucyjnych, orzekającym o równouprawnieniu wszystkich poddanych, cała ich kategorya, że tak powiem, na obywateli drugiego rzędu zdegradowaną została i znalazła się na liście proskrypcyjnej, pozbawiona wszelkich względów, nie odmawianych innym poddanym, postawiona w otwartej wojnie z państwem? To samo dotyczy artykułu 3-go konstytucyj; powiedziano w nim, że prawo nabywania ziemi wszystkim jednako przysługuje i że w utrzymaniu tego nabytku nikomu przeszkadzać, nikogo uszczuplać nie wolno. Jakże panowie pogodzicie te paragrafy z ostatnimi wnioskami rządowymi? Zaiste, bardzo kulturalne, narodowo-patryotyczne zadanie, które wycofuje z kursu najelementarniejsze rękojmie swobody konstytucyjnej! A nadto jaka ofiarność i wydatek przeciw wewnętrznemu nieprzyjacielowi, przeciw poddanym, którym nie na to przecież w uroczysty sposób poręczono poszanowanie ich narodowych praw i własności, aby odwołanie się do nich „złamanego szeląga" nie było warte; przeciw poddanym, którzy rzetelnie znoszą ciężary państwowe i, tak samo jak inni, spłacają podatek krwi i mienia swego! To rzecz szczególna. Wojnę przeciw niemcom i Austryi stoczyły Prusy, nie żądając kredytu; a przeciw wewnętrznemu wrogowi żądają dziś w szczęśliwej epoce monopolu wódczanego i podatku szynkowego, *cavalièrement* skromnej sumki sto milionów marek, gdyż na pewno sumy tej obliczyć się nie da.

Co do kolonizacyi i prawa osadników; najpierw pomiędzy uprzywilejowanym osadnikiem a od niepamiętnych czasów żyjącym na swoim gruncie autochtonem wytworzyć się musi rozgoryczenie i wieczny rozdział; w takim razie nic należy sobie wiele obiecywać z kulturalnej roboty tych kolonistów. Probowano już tego za czasów(?) południowo-pruskich; sprowadzano osadników z Würtembergii w okolice między Gnieznem i Inowrocławiem, ale przedsięwzięcie się nie udało, bo tylko własna praca się opłaca, tylko to się utrzymuje, co się zdobyło własnym trudem i znojem. Przywileje bywają zwykle przez uprzywilejowanych nadużywane, mszczą się później na tych, którzy je rozdawali. Przy wnioskach ekonomicznej natury powinny względy ekonomicznego pożytku przeważać; czy wszelako te względy przeważały w tym wypadku? Głównym motywem projektu była namiętna nienawiść przeciw innej narodowości; jego celem nie dobro kraju, ale wyparcie i zubożenie niezasłużenie nielubianej części jego mieszkańców.

Nie wymaga to wielkiej odwagi, ani dowodzi szczególniejszej wspaniałomyślności, przy rózwinięciu tak łatwej w Prusach potęgi, przydusząć ludność parę milionów liczącą. Sądzę, że Prusy bez wielkiego dla siebie niebezpieczeństwa mogłyby uszanować zasady, którym swoje powstanie i dzisiejszą potęgę zawdzięczają. Zdaje mi się, że takie postępowanie nie-świadczy o zaufaniu w swoją własną siłę. Wiemy o tem bardzo dobrze, że nam wypowiedziano walkę na śmierć i życie, pamiętamy wszelako zawsze o tej prawdzie, którą wyrzekł jeden z naszych największych statystów: „Upaść może nawet wielki naród, zginąć tylko nikczemny." Naród, mający tysiąc lat historyi, który zachował pomimo tylu klęsk jeszcze żywotność taką, że trzeba miliony poświęcać na jego zagubę, nie zginie. Nie lekceważymy sobie nienawiści wielkiego męża stanu, ale pomimo niej nie myślimy kapitulować; więcej niż kiedykolwiek staniemy ramieniem przy ramieniu w bratnim szeregu. Nie zrzekamy się przyszłości. Naszem będzie zwycięstwo, waszym udziałem niesława, jeśli nie hańba!

(D. c. n.).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Zipper Albert. **Franciszek Grillparzer** [jego] życie i dzieła napisał... ze stalorytowym portretem poety. We Lwowie. Gubrynowicz i Schmidt. 1886.

Dr. Zipper, znany jako tłomacz niemieckich, piszący o poważnych rzeczach i wykładający na wszechnicy lwowskiej literaturę niemiecką, wystąpił w tym roku z trzema pracami, z których dwie pierwsze: *Herder jako pedagog* (odbicie ze Sprawozdania gimnazyum lwowskiego za rok 1885) i *Mitologia dla młodzieży* (Lwów, 1886) należą do pedagogii, trzecia zaś, na czele wymieniona, jako zajmująca szerszą publiczność i otrąbiona za doskonałość, wymaga zgodnej z prawdą oceny. Sądząc ją łagodnie jako książeczkę popularną, nie daje ona wyobrażenia o słynnym poecie dramatycznym, o jego charakterze jako człowieka i pisarza, o jego dążeniach i właściwościach. Jest to sucha biografia, urozmaicona chyba nic nieznaczącymi szczegółami codziennego życia poety, co nas tem bardziej zadziwia, że autor sam wyszydzał tego rodzaju piśmidła w „Przewodniku naukowym i literackim" (1883 XI 940). A do tego opisu życia Grillparzera nie zużytkowano umiejętnie ani autobiografii poety— umyślnie zaciemnionej i chronologicznie bałamutnej — ani monografij Scherera i Laubego. Dr. Zipper nie zna nawet odnośnej literatury, że tu wymienię tylko z ważniejszych dzieł: Lorm *Wiens poetische Schwingen und Federn*; Tomaschek *Grillparzer* (*Kais. Akademie der Wiessenschaften* 1872); Littrow *Aus dem persönlichen Verkehr mit Grillparzer*, Wien 1873.

Trudno też zgodzić się nam na apoteozę austryackiego poety *); w charakterze jego, mocno zidealizowanym, widzimy wiele sprzeczności, które autor przemilcza. Za czasów absolutyzmu w Austryi był Grillparzer liberałem, lecz od czasu rewolucyi 1848 należał do zacofańców i patryotów domu austryackiego. Nienawidził i pogardzał stanem urzędników austryackich a przecież pragnął uznania i awansów. W poezyach jego mieszczą się razem przepyszne obrazy obok frazesów stylu urzędowego. Sam mówi o sobie: „We mnie żyją dwie zupełnie odrębne istoty: poeta ognistej, karkołomnej fantazyi i człowiek rozsądku najzimniejszego kalibru." Prosiły się i cisnęły pod pióro pisma Grillparzera, mające bliższą styczność z polakami, jak wiersze „Warschau" (1831), „Russland," „Der kranke Feldherr" tudzież opowiadanie „Klasztor pod Sandomierzem," w którem dwom rycerzom niemieckim, wysłanym w poselstwie do króla Sobieskiego, opisuje braciszek arcy-romantyczne dzieje. Dr. Z., który z zamiłowaniem wykłada, jak Grillparzer „o 8 godzinie rano goto-

*) Aby dać próbkę tej apoteozy przytaczam jedno tylko, ale charakterystyczne zdanie dr. Zippera: „Ktokolwiek — powiada on — wstępuje do świątyni muzy Grillparzera, tego owiewa *odrazu* czyste tchnienie *olimpijskiego eteru* i poznaje *natychmiast czar żywiołu niebieskiego*" (!).

---

szenia tak brutalnego... ale zarazem tak krótkotrwałego! Chwycił mnie za ręce swemi małemi rączkami, a ciało jego wiło się jak pióro na ogniu. Po chwili już nie żył.

Serce mi biło, jak serce owego ptaka! Rzuciłem ciało w rów i przykryłem je trawą.

Wróciłem do domu; obiad jadłem ze smakiem. Jakaż to drobnostka! Wieczór spędziłem u prefekta. Byłem wesoły, swobodny, odmłodzony, a nawet dowcipny, jak utrzymywano.

Jestem zupełnie spokojny, ale cóż, kiedym krwi nie widział!

30 sierpnia. Znaleziono zwłoki. Poszukują zabójcy. Ach! ach!

1 września. Uwięziono dwóch włóczęgów, których jednak puszczono dla braku dowodów.

2 września. Rodzice dziecka przyszli do mnie. Jak płakali! Ach! ach!

6 października. Nic nie odkryto. Przypuszczają, że go zabił jakiś wałęsający się niepoń. Ach! ach! Gdybym był widział krew płynącą, zdaje mi się, żebym już teraz był zupełnie spokojny!

10 października. Znowu mnie opanowywa pragnienie zabójstwa. Zupełnie podobnego uczucia doznawałem w dwudziestym roku życia, kiedy mnie dręczyła żądza miłości.

20 października. Jeszcze jeden. Szedłem po śniadaniu brzegiem rzeki i spostrzegłem pod wierzbą śpiącego rybaka. Było właśnie południe. Jakby umyślnie tuż przy nim, na polu z ziemniakami stała zatknięta w ziemię motyka. Wziąłem ją, podniosłem jak pałkę i za jednym razem rozciąłem głowę. Och! z tego to się dopiero krew lała! Różowa, pomięszana z mózgiem! Spływała prosto do wody, a ja szedłem dalej krokiem poważnym, miarowym. Ach! ach! Jakimże mógłbym być doskonałym zbrodniarzem!

25 października. Sprawa rybaka narobiła wiele hałasu. Podejrzenie pada na jego siostrzeńca, który z nim razem łowił ryby.

26 października. Sędzia śledczy utrzymuje, że ów siostrzeniec popełnił zbrodnię, całe miasto podziela to zdanie. Ach! ach!

27 października. Siostrzeniec broni się bardzo niedołężnie. Poszedł, jak utrzymuje, kupić na wsi chleba i sera. Przysięga, że zabito wuja podczas jego nieobecności. Któżby temu uwierzył?

28 października. Obwiniony tak stracił głowę, że o mało się do zbrodni nie przyznał! Ach! ach! Sprawiedliwość!

15 listopada. Znaleziono bardzo poważne dowody przeciw obwinionemu, który miał po stryju dziedziczyć. Będę prezydował na posiedzeniu.

25 stycznia. Na śmierć! na śmierć! na śmierć! Skazałem go na śmierć! Ach! ach! Prokurator mówił jak anioł! Ach! ach! Jeszcze jeden. Zobaczę, jak go będą tracić!

10 marca. Już po wszystkiem. Dziś rano go gilotynowali. Zachowywał się do ostatniej chwili bardzo, bardzo dobrze! Zrobiło mi to istotną przyjemność. Jaki to piękny widok, kiedy ścinają głowę ludzką! Krew wytrysnęła jak strumień! Och! gdybym był mógł, z jakąż rozkoszą byłbym się w niej kąpał, zanurzał w niej twarz swoją, włosy i stanął cały czerwony, krwawy! Ach! gdyby wiedziano!

Teraz zaczekam, mogę czekać. Tak mało potrzeba, żeby mnie odkryto.

. . . .

Rękopis składał się jeszcze z kilkunastu kartek, na których już nie było wzmianki o nowej zbrodni.

Doktorzy obłąkanych, którym ten rękopis pokazano, utrzymują, że na świecie znajduje się wiele ukrytych waryatów równie zręcznych i niebezpiecznych, jak wyżej opisany potwór.

Tłom. *Kasylda K.*

K O N I E C.

wał sobie w swojem pomieszkaniu kawę, jak po śniadaniu siadał przy oknie w pierwszym pokoju, kiedy sprzątano w frontowym i paląc cygaro, jedno na cały dzień, przeglądał gazetę, jak o godzinie drugiej jadał obiad, używszy małej przechadzki" iid. itd.; o tak ważnych dla nas utworach poety nic bliższego nie powiedział, wywijając tylko arcypociesznie swoją maczugą na genialnego krytyka Schlegla a nawet na Goethego (str. 17, 55—6).

Jeżeli rozprawa dra Z. zostawia wiele do życzenia pod względem treści, to pod względem formy stoi niżej wszelkich wymagań. Autor, uczący z katedry akademickiej dojrzałą i wykształconą młodzież polską, nie umie poprawnie pisać po polsku i popełnia tak okropne błędy gramatyczne i stylowe, że się czytelnik rumienić musi ze wstydu. Nie chcę zabierać wiele miejsca i czasu, na poparcie mego zdania wystarczą z długiej litanii grzechów językowych następujące kategorye: 1-o. Ciemna, zawiła składnia: „Grillparzer w autobiografii rzecz przedstawia jakoby pracę przerwał spowodowany tożsamością idei w rozpoczętej swojej a przedstawionej równocześnie obcej sztuce." „Zgoła innym kierunkiem szedł tok jego myśli, *które* żywo wymieniał z przyjaciółmi, Meillerem, *z którym* razem beletrystyczne czasopismo wydawać zamierzał" itd. „Zaczął myśleć o nowem dziele, *które* osnuł na opowieści G. Turończyka, *którą* w następujący sposób przedstawił" itp. 2-o. Germanizmy: „zamianował go minister koncepistą prezydyalnym *obok* swojej osoby;" „znajomości tych nie pielęgnował" (z niemieckiego „Bekantschaft pflegen), *Najwyższy* zarządca teatrów (zamiast: „naczelny"), „zajmował się fortepianem" (=grał na fortepianie) i znowu — „*pielęgnował* śpiew;" „Grillparzer był wzrostu bardziej małego niż średniego," „epoka *za*klasyczna — nieodgadniona cenzura — produktywny (zamiast: produkcyjny) — Blanka z Kastylii — (zamiast: kastylijska) — dramatyk (=pisarz dramatyczny) itp. 3-o. Uchybienia stylowe: „prowadził *on*, robił *on*. Umieszczanie czasowników na końcu zdania. „Skoro czytać umiał" (zamiast: nauczył się), używanie obcych wyrazów, jak: „adaptacya pomieszkania i sprzeniewierzenie się solicytatora," „dramata inscenować." Tego rodzaju niesmaczne zwroty: „Jak widzieliśmy, poezya Grillparzera odeszła na dłuższy czas od starożytności, ale teraz wróciła znowu" itd. 4-o. Błędy gramatyczne: „dozorywano dzieci" (str. 6 i 7), „łaził pod fortepia*nem* po ziemi" (str. 7), „wobec uczni" (9), „znajdywa" (5), „dochód nie bardzo polepszył położeni*a* materyal*nego* autora (39), Pyrker słynny jako epik dziełami" (zamiast: z dzieł) str. 40; szukał *za* pamiątkami (zamiast szukał pamiątek str. 41, 42 i 48); „mąż *ją* nienawidzi" (46), „skutki osamotnienia odbijają się *na* pamięci poety" (57), „wszelkie z tego powodu, mianowicie z *nieprzedstawienia jej już nigdy i nigdzie*, wynikające straty" (61), „upojenie *ze* szczęścia" (zamiast: szczęściem) str. 65. Użycie t. z. częstotliwych słów zamiast dorażnych (na str. 89, 91—11). Radzimy szczerze dr. Zipperowi, aby prace swoje przed oddaniem do druku dawał do poprawy pisarzowi, władającemu językiem polskim. Rewizya redakcyi „Przewodnika nauk. i liter.", gdzie ta rozprawa pierwszy raz była pomieszczoną, jest zbyt pobłażliwą.

Z.

Jadwiga Z. **Gunilla**. Poemat z czasów średniowiecznych. Warszawa, 1886 r.

W nauce i sztukach pięknych ślepe hołdowanie tradycyi i uwielbianie ideałów przeżytych jest znakiem osłabionej potęgi twórczej i zwyrodnienia myśli. W naszem piśmiennictwie filozoficznem objawy podobnego zwyrodnienia są dość liczne. Tęsknota, z jaką pp. Dębiccy, Moliccy, Pawliccy, Zaborscy, Dzieduszyccy zwracają się do ś. Tomasza z Akwinu, do metod i zagadnień scholastyki — nie pozostawia tu żadnej wątpliwości.

W poezyi — uciekanie się do wieków średnich po natchnienie i treść tłomaczyć można dwojako: niekiedy poetę opanowywa jakieś wielkie uczucie, jakaś idea, dla których w otoczeniu swem odpowiedniej formy znaleźć nie może (Faust, Konrad Wallenrod); czasem zaś lubowanie się w grubych efektach barbarzyńskiego życia jest tylko objawem braku poetyckiej wyobraźni i wrażliwości. Przytępione lub słabo rozwinięte zmysły nie widzą przedmiotów nieoświetlonych bengalskim ogniem, nie rozumieją uczuć pozbawionych operetkowej dekoracyi. Miłość jest dla nich niczem, gdy jej nie opromienia chińska latarnia, (tak zwany księżyc); nienawiść traci swą siłę, gdy nie włada paparowym sztyletem i nie rozlewa soku buraczanego — zamiast krwi, męstwo — musi koniecznie nosić pancerz i przyłbicę, cnota — jęczeć w samotnej wieży zamczyska, sprawiedliwość — występować w roli „dziewicy" przebranej za giermka lub barda, zdrada — czołgać się na brzuchu, trzymając sztylet w zębach itd. itd.

Zdaje się, iż ten drugi szereg powodów skłonił p. Jadwigę Z. do szukania wątku powieści na „zrębie skały," gdzie stał zamek średniowiecznych baronów. W teraźniejszości autorka nie mogła znaleźć źródeł natchnienia, nie umiała ona — wskutek braku wrażliwości poetyckiej — odczuć i zrozumieć życia dzisiejszych; bojownicy niepodległej myśli, walka o swobody polityczne nie mogą odbić się w jej wyobraźni dość plastycznie; natomiast kawałek starej blachy — wprawia ją w zachwyt, przekupując na korzyść barbarzyństwa:

> Widzę rycerzy, hełmy i przyłbice,
> Widzę surową wyniosłość ich lica...
> Bo dzieci wasze półśrodków nie znały,
> Gdy czyn szlachetny — to wzniosły i śmiały,..
> Gdy grzech, to — jako wahadło stalowe —
> Nie chwiał się w zbrodni i cnoty połowę.
> Lecz stał z odkrytą przyłbicą...

W słowach tych jest trochę prawdy i dużo fałszu. Nigdy może obłuda i hipokryzya nie pleniły się bujniej, niż w wieku XV; wszystkie grzechy tych czasów chowały się właśnie w „połowę cnoty," w tę mianowicie połowę, którą można było uzmysłowić tłumom zapomocą dekoracyi kościelnej, klasztornej, królewskiej, papieskiej itd. Prawdą zaś jest to głównie, że rycerze ówcześni nosili zbroję błyszczącą, która dla mniej wybrednych talentów jest nieocenioną i niewyczerpaną skarbnicą natchnień. Po za tem szlachetne czyny męstwa — były zwykle rabunkiem i rozbojem, poświęcenie się mas dla idei — objawem ślepego fanatyzmu, wyzyskiwanego przez ciemnotę i chciwość lub ambicyę jednostek. Te tylko z postaci średniowiecznych budzą w nas dzisiaj współczucie lub uwielbienie, którym przyświecała jakaś idea, wstrząsająca i naszym również umysłem, albo jakieś ogólno-ludzkie uczucie. Ostatecznie powiedzieć można, iż objawy ówczesnego życia dla umysłów dzisiejszych są do zbytku brutalne i barbarzyńskie, a tem samem bardzo mało nadają się do podsycania twórczości prawdziwie artystycznej. Gdyby dramaty Szekspira nie były arcydziełem psychologicznem — budziłyby w nas uczucie wstrętu. Czerwona płachta sprawiająca żywą radość papuasowi i przyprawiająca wołu o wściekłość — nuży tylko wzrok człowieka cywilizowanego.

Autorka *Gunilli* sama zresztą poczuwa się do obowiązku przeproszenia czasów dzisiejszych za to, że je tak spotwarza, dla tego też

> „dłoń kładąc na skrzypkę lipową,"

zapewnia czytelników, iż

> „przeszłości śpiewa urywki najkrótsze
> A w *dziś* się patrzy i duma o *jutrze*"

Wyznanie to jak najgorzej świadczy o jej temperamencie artystycznym. Jest to temperament gapiowaty, rozglądający się, rozpaplany. Natchnieniu jej brakowało więc owej samorzutności, owej siły nieprzepartej, która — kiedy raz w wieki średnie zwabi poetę, każe mu zapomnieć o *dziś* i o *jutrze*. Należało już pójść za ową „dziką skałę" i siedzieć tam aż do skończenia poematu, nie myśląc wcale o dniu dzisiejszym. Wyznanie p. J. Z. każe przypuszczać, iż ani rycerz w pancerzu, ani dziewica przebrana za lutnistę, ani „wahadło stalowe" — nic, nic nie zdołało pochłonąć całkowicie jej wyobraźni i ochronić od refleksyi, od chłodnego rozumowania, od ważenia na szali rozsądku przedmiotów swych natchnień.

Wpatrywanie się w *dziś* wprowadziło do poematu zbytek refleksyi. Tak np. przytaczając podanie ludowe o cudownem pochodzeniu zamczyska, o założeniu go przez szatana, p. J. Z. stara się przekonać czytelnika, że takie pojmowanie rzeczy nie da się pogodzić z rozumem. Autorka zdaje się być pełną obawy o to, aby nie pomyślano czasem, że i ona sama wierzy w dyabła. W poemaciku swoim walczy z poezyą, z fantazyą ludu, z wyobraźnią i staje w obronie rozumu.

Warto byłoby może wspomnieć coś o treści utworu. Pomysł jego dość znany i pospolity: jest nim zemsta przebranej za barda Gunilli, na dawnym jej kochanku, zabójcy jej brata, uwodzicielu jego żony — a w chwili opowiadania — bardzo porządnym obywatelu wiejskim, który, ożeniwszy się i dumając zapewne o *jutrze*, karczuje lasy, rozdaje chłopom ziemię i byłby może założył cukrownię, gdyby nie maskarada Gunilli. Wszystko zresztą odbywa się tu w należytym i przez receptę romantyczną uświęconym porządku: bard przychodzi do zamku podczas uczty, po skończeniu pieśni rozbija arfę o chłodne marmury, winowajcy toczy się z ust piana i struga krwi (zapewne krwotok — zbyteczny, ale piana bez krwi nie warta), nakoniec bard-Gunilla rzuca przekleństwo na wszystkich zdrajców.

Oprócz wykazanych wyżej zasadniczych wad poematu — rażą w nim pewne zwroty i porównania tak rozpaczliwie nie poetyczne, iż mogłyby na długo zepsuć wrażenie lepszej nawet całości. Oto np.:

> Ciężkie się sali rozwarły podwoje
> I, w *strzałach oczów napiętych ciekawie*
> Nieznany starzec stanął na ich progu...

Co było napięte? Jeżeli strzały, to dlaczegoż *ciekawie*, jeżeli oczy... nie, oko nie może być napiętem, chyba że wieki średnie i do tego barbarzyństwa były zdolne.

Nadto autorce Gunilli nie wszędzie udaje się pokonać czysto zewnętrzne, językowe trudności wierszowania.

> *Skrawa* spojrzenia i słowa namiętne...,
> Lecz mu nie wróci *cześć straconą*...
> Tam *orłu* bujać, tam ptak czuje życie...

Czyż p. Jadwiga Z. nie rozumie, że jednemu takiemu „orłu" i kilkunastu jego towarzyszom zawdzięczać można niepowodzenie całego utworu. A jednak, cóż łatwiejszego, jak po napisaniu poematu, zatrzymać go u siebie przez czas jakiś — aż do zupełnego wykończenia. Rym i rytm w poezyi o tyle już podkopują naturalność opowiadania, że każdego z ich sprzymierzeńców usuwać należy jak najtroskliwiej.

Pomimo wszystkie te błędy i wady *Gunilli* — znaleźć w niej można kilka prawdziwie pięknych i poetycznych ustępów. Oto np. jeden, którego nie powstydziłoby się nawet pióro pierwszorzędne.

Próżno las krzaków umacnia zawady
I, gałązkami biorąc się za ręce,
Płacze uściskiem i główki dziecięce
Za życia ojców w ofierze oddaje;
Napróżno leśne, głębokie ruczaje
Lśniące, jak łuską srebrną wąż — pierścieniem
Wijąc się kręto w mchów siwych pościeli,
Lub pędząc z góry, swem chłodnem ramieniem
Wstrzymują srogich najeźdźców zabory—
Do niebezpiecznej wabiąc ich kąpieli;
Próżno ponurą groźbą szumią bory
I oparzelisk zdradne duszą gazy,
Próżno! pod siekier okrutnemi razy
Padają drzewa, jak kłos ścięty kosą —
I dumnem czołem z liściastą koroną,
Zamiotą z jękiem matki ziemi łono;
Czasem dąb stary mszcząc krzywdy współbraci,
Konając, śmiercią wrogowi zapłaci
I w krwawy odwet za swych i za siebie
Pod własnem ciałem zabójcę pogrzebie..."

Takie i tym podobne urywki, o ile nie są naśladowaniem, pozwalają wierzyć w talent p. Jadwigi Z. Radzilibyśmy jej wszakże: unikać zbyt brutalnych lub spłowiałych pomysłów, strzedz się nadmiaru refleksyi i starać się o większą poprawność i wykończenie formy zewnętrznej.

M. Bohusz.

LITERATURA RUSIŃSKA.

Lwów, 18 lutego.

Echa poznańskie. — *Zoria*. — Aforyzmy Fedorowicza. — *Luboradzki* Świdzickiego. — Historya literatury ukraińskiej Ogonowskiego. — Ruska historyczna biblioteka. — Dodatek do *Bat'kowszczyny*. — Wydawnictwo muzyczne. — Pieśni.

Pora obecna jest zaciszem politycznem w Galicyi: rozprawy sejmowe przebrzmiały, rozprawy w Radzie państwa dotyczą spraw, mających tylko uboczny interes dla kraju, echa zaś potężnych gromów, ciskanych na polaków a pośrednio i na całą Słowiańszczyznę przez apostoła germanizmu w Prusiech, echa ciężkiej walki forpocztowej w Poznańskiem chociaż i dolatują do nas, lecz wcale jakoś nie wywierają tak silnych skutków, jakichby należało się spodziewać. Polacy galicyjscy traktują ową walkę albo z oburzeniem, będącem jedynie wypływem obrażonych uczuć ludzkich, lecz wcale nie zmieniającem ich zwykłego sposobu myślenia, lub też z drwinami, będącemi tylko niedołężną maską zupełnej bezradności. Spotęgowania objawów siły życiowej, świadomości narodowej i wyjaśnienia narodowego programu dalszych działań echa poznańskie dotychczas nie wywołały w Galicyi. Zresztą zaczekajmy na zjazd delegatów kółek rolniczych, który w tych dniach ma się tu odbyć; może z ust ludu, z ust wieśniaczych ozwą się głosy żywsze i zdrowsze, niż ze szpalt dziennikarskich!

Niestety, i rusińska prasa polityczna niczem nie przyczyniła się do tego, by fatalne echa poznańskie przetworzyć w jakąkolwiek zdrową naukę dla społeczeństwa galicyjskiego, tak polskiego, jak i rusińskiego. Najciekawszym głosem, jaki o tem odezwał się z obozu rusińskiego, były aforyzmy p. Wł. Fedorowicza, drukowane w literackiem czasopiśmie *Zoria* a wyjaśniające poglądy autora na „Narodowość, Słowiańszczyznę i Ruś." Chociaż nie w bezpośrednim związku z wypadkami poznańskimi, wypowiedział tu p. Fedorowicz dużo myśli zdrowych i godnych zapamiętania o przyszłości Słowiańszczyzny, o wzajemnych stosunkach pojedynczych plemion słowiańskich do siebie i do innych narodów. „Słowianie mają dwóch wrogów — mówi autor:—niemców i jezuitów. Niemcy chcą im zabrać ziemię a jezuici — duszę." „Narodowości, rozdarte między kilka państw, dążą do narodowego zjednoczenia. Narodowość, to naturalna podstawa państwa, a właściwie państwo jest tylko społeczną organizacyą narodowości. Dopóki mapa etnograficzna nie stanie się mapą polityczną, dopóty nie będzie na świecie spokoju, bo dopóty będą między narodami ciemiężeni i ciemiężyciele. Ideałem jest to, żeby każdy naród żył sobie sam dla siebie."

Jak widzimy więc, autonomiczne stanowisko rusinów, i wogóle każdego słowiańskiego plemienia, zaznaczone w tych słowach bardzo dobitnie. Z tego też stanowiska nie szczędzi autor wymówek wszystkim tym, którzy naruszają te zasady: sporo takich zarzutów dostaje się i polskiej, osobliwie galicyjskiej szlachcie. Lecz ten autonomizm p. Fedorowicza, daleki od narodowej wyłączności szowinizmu, gruntuje się na uczuciach humanitarnych i interesach cywilizacyjnych. „Naród walczy o swoje prawa ludzkie, a zdobywa w tej walce zarazem i narodowe." Te słowa, to nietylko nauka dobyta z faktów historycznych, lecz zarazem wskazówka, w jakim kierunku walka narodowościowa prowadzoną być winna.

Wspomniawszy o aforyzmach p. Fedorowicza, winienem też wspomnieć obszerniej o samej *Zori*, w której one były umieszczone. Czasopismo to pod nową redakcyą d-ra Kalitowskiego przedstawia się daleko lepiej pod względem bogactwa i doboru treści, i pod względem zewnętrznej formy, niż lat poprzednich. Główną ozdobą wydanych dotychczas trzech numerów nowego rocznika jest początek obszernej powieści z życia duchowieństwa rusińskiego na Podolu, p. t. *Luboradzki*. Dziwne są losy tej powieści. Napisana jeszcze w r. 1862—63, przez lat dwadzieścia z górą błąkała się z rąk do rąk, dopóki nareszcie, w dość późnym odpisie, przywędrowała, do Galicyi, gdzie miała ujrzeć światło dzienne. Autor jej, człowiek wielkiego talentu, lecz małej nauki, Anatol Świdnicki, umarł przed laty dwunastu, zapomniany przez ludzi, może i sam o tem zapomniawszy, że stworzył dzieło, które na długo pozostanie jedną z najpiękniejszych ozdób rusińskiej literatury, i że imię jego kiedyś godnie stanie obok imion Neczuja Lewickiego i Myrnego. Treścią jego opowiadania czyli „Kroniki rodzinnej" jest smutna historya, ukazująca, jak to pod naciskiem obcych, wynaradawiających wpływów zwolna upada i rozbija się ukraińska rodzina wskutek moralnego spaczenia i skoszlawienia młodej jej generacyi. Osobliwie życie szkolne w duchownych zakładach naukowych przedstawione tu z potężną plastyką i stylem owianym takiem serdecznem ciepłem i taką prostotą, jaką rzadko spotkać można nawet śród ruskoukraińskich pisarzów, u których te cechy charakterystyczne często górują nad innemi.

W dziale beletrystycznym *Zori* wspomnieć należy początek pięknej nowelki „Czad," pióra utalentowanej autorki Ołeny Pczilki; prospekt pisma zapowiada szerszą powieść tej samej autorki, osnutą na tle stosunków ukraińskich w czasie rosyjsko-tureckiej wojny 1877—78 roku. W dziale naukowym drukuje *Zoria* pracę, której potrzebę oddawna uczuwała młodzież ukraińska w Galicyi, mianowicie „Krótka historya rusko-ukraińskiej literatury" od najdawniejszych czasów, pióra zasłużonego profesora wszechnicy lwowskiej, dra Emiliana Ogonowskiego wyjdzie także w osobnem wydaniu książkowem (12—15 arkuszy druku); będzie to więc pierwszy podręcznik literatury rusińskiej, napisany po rusińsku, z cechą naukowej przedmiotowości i bez jakichkolwiek ubocznych tendencyj politycznych, które np. dostrzegamy w książkach Petrowa, anawet poniekąd i Pypina. W tymże dziale naukowym *Zori* drukuje się przegląd poetyckiej działalności Swatopluka Czecha, napisany specyalnie dla rusińskiego czasopisma przez czecha Franciszka Rehora i stanowiący pierwsze ogniwo w szeregu „Szkiców z dziejów współczesnych literatur słowiańskich." W dalszym szeregu tych szkiców mają się pojawić prace o Mickiewiczu, o współczesnej literaturze bułgarskiej itd. Zresztą prócz historyi literatury rusińskiej drukuje *Zoria* także szkice o pojedynczych autorach rusińskich. Pierwsze numery przyniosły odczyt p. Kocowskiego o Maryanie Szaszkiewiczu, inicyatorze odrodzenia literatury narodowej rusińskiej w Galicyi.

Prócz *Zori* najważniejszem wydawnictwem rusińskiem obecnie jest *Ruska istoryczna biblioteka*, wydawana w Tarnopolu przez prof. Barwińskiego. Pierwszy tom tego wydawnictwa mieści niejako wstęp: krótką historyę południowej Rusi, pióra St. Kaczały. Praca ta, chociaż nieoparta na własnych badaniach źródłowych, bardzo jednak treściwa i pouczająca. Za nią pójdzie szereg specyalnych monografij o najdawniejszej, książęcej dobie ruskiej historyi Kostomarowa, Iłowajskiego, Daszkiewicza i innych. Zaraz od pierwszego tomu wydawnictwo to zyskało sobie żywą sympatyę rusinów, i spodziewać się należy, że dalsze tomy coraz więcej rozszerzać będą krąg jego czytelników.

Obok *Zori*, przeznaczonej dla inteligencyi rusińskiej, powstało nowe miesięczne wydawnictwo literacko-naukowe, przeznaczone dla ludu wiejskiego i wychodzące w formie dodatku do *Bat'kiwszczyny*. Dotychczas wyszły tylko dwa numery, a już przyniosły treść cenną i ciekawą dla szerszego koła czytelników, jak np. początek popularnej historyi literatury rusińskiej, popularne objaśnienia niektórych ustaw szkolnych i gminnych i bogaty zbiór ciekawych faktów z życia ludu wiejskiego w Galicyi i Ukrainie.

Wspomnieć też należy o wydawnictwie muzycznem, przedsięwziętem przez grupę lwowskich uczniów gimnazyalnych. Postanowiło sobie za zadanie — propagandę stylu i motywów ludowych rusińskich w naszej muzyce. Dotychczas wyszły cztery zeszyty, mieszczące trzy kompozycye młodego kompozytora Ostapa Kiżankowskiego, jednę ukraińca Łysenki, i jednę lwowskiego starszego kompozytora Wachnianina. W dalszym ciągu, prócz utworów innych współczesnych muzyków rusińskich, ma się pojawić obszerny zbiór pieśni ludowych rusińskich z Galicyi z muzyką i akompaniamentem.

Zanotuję wreszcie pojawienie się w osobnej odbitce z X-go tomu wydawanych przez krakowską Akademię nauk „Zbioru wiadomości do antropologii krajowej" pięknego zbioru pieśni i obrzędów weselnych ludu rusińskiego z ubogiej górskiej wioski Lolina. Zbiór ten obejmuje przeszło 180 pieśni i mnóstwo ciekawych obrzędów, składających razem jedno wesele ludowe, i dorzuci zapewne sporo ciekawego materyału do rusińskiej etnografii i lingwistyki. Poprzedzony wstępem pióra Iw. Franka, zbiór sam dokonany został przez pannę Olgę Roszkiewicz, która występowała też w literaturze rusińskiej jako tłomaczka kilku powieści.

Myron.

LITERATURA NIEMIECKA.

Edward Hartmann. **Der Spiritismus.** Leipzig — Berlin, 1885.

Nie uczestnicząc w żadnem posiedzeniu spirytystycznem („nie bralem nigdy udziału w posiedzeniach" str. 16), jeno mając pod ręką doświadczenia robione przez

Zöllnera, Hellenbacha, Crookes'a i Cox'a; poznawszy z lekka literaturę spirytystyczną, która obecnie olbrzymio wzrosła, przystąpił Hartmann z całym spokojem do naukowego (?!) rozwiązania zagadnień, najzawilszych może w dziedzinie fizyologii. Nie należy nawet o tem wątpić, że materyału nie wyczerpał i do rezultatów wielce dodatnich nie doszedł, postępując wspomnianą metodą.

Rozprawka ta dość spora, liczy bowiem 118 str., rozpada się na pięć działów, w których autor, podawszy w krótkości obecny stan „spirytyzmu,“ przedstawiwszy wady i przedmioty, jakie medium zwykło posiadać, przechodzi do samychże zjawisk, opisując kolejno proste i bardziej zawiłe, niewdając się jednak zupełnie w krytykę ich prawdziwości. Najlepiej powiodło się mu przedstawienie przyczyn mimowiednego pisania i mówienia, które objaśnia mimowolnymi ruchami mięśni, kierowanymi przez zwoje środkowej części mózgu. Interesujące są zjawiska: przysuwania do siebie przedmiotów, podnoszenia nawet dość ciężkich sprzętów bez dotykania ich, zmniejszania się wagi: zagadkowe: przenoszenie myśli, przenikanie stałych ciał, przeczucie i objawienie u osób wysoce nerwowych lub nawet histerycznych, a najciekawsze wywoływania duchów. Autor przy każdej niemal grupie zjawisk zaznacza: udają się niewątpliwie, gdy je te same osoby z tem samem medium częściej powtarzają. Dosadny to dowód, że hallucynacya, wywołana wytężeniem uwagi na jeden przedmiot i zmęczeniem, staje się potężnym pomocnikiem doświadczających i samego medium, oczywiście, jeżeli ono nie jest prostym oszustem. Wogóle tam, gdzie Hartmann staje na gruncie, chociażby i cudzych doświadczeń, jest zajmującym; wdając się w wywody krytyczne, grzeszy brakiem ścisłości i niesystematyczności.

Z. L.

Literatura czeska.

Świętopełka Czecha **Prawda**, bajka wierszowana i drobne poezye. Praga, nakładem Szimaczka, 1886 r.

Obok Vrchlickiego, pierwsze miejsce na Parnasie poetów czeskich zajmuje Świętopełk Czech (ur. 1846 r. w Ostrzedku pod Beneszowem). Ideałem jego jest szczęście ludzkości, oparte na wiecznym pokoju i panowaniu prawdy, goszczącej w sercach czystych, wolnych od zepsucia, wytworzonego przez ucisk i ciemnotę. Chłoszcze tedy kłamstwo, które jak wąż wije się na drzewie żywota, wyganiając nas z raju przyrody. Dla zapanowania bowiem nad tłumami, potrzeba było skrzywić umysł ludzki pętami zapleśniałych formułek, obudzić w nim pychę zapomocą grzmiącej surmy rycerskości i szychu obłudy. Utwory Czecha: „Lešetínský kowárz“ i satyra „Hanuman“, jak grom poruszyły zmurszałe mrowisko odwiecznego kłamstwa i wsteczności, przebierającej paciorkami samolubstwa. Będąc jeszcze studentem na wydziale prawnym (wszechnicy w Pradze), pisywał drobne utwory do czasopism: *Kwiety*, *Ruch*, *Almanach czeského studenstwa* i *Máj*. Oprócz poematu „Adamité“ (sekta za czasów husyckich, zniszczona przez sławnego Żyżkę), wydrukowanego w *Lumirze* (1873) umieszczał w tem piśmie mnóstwo utworów lekkich, a nawet od roku 1873—76 był czynnym współredaktorem pomienionego organu. Zbiorek poezyj jego p. t. „Básnie“ wyszedł w r. 1874. W tym czasie zwiedził Kaukaz, obdarzywszy *Národní Listy* bogatym zbiorem fejletonów. Obecnie u Szimaczka w Pradze wyszły wspomnienia z tej podróży p. t.: „Upomínky z wýchodu.“ Od r. 1879 redaguje wraz z drem Hellerem *Kwiety*, gdzie drukowano: „Wáclawa z Michalowic“ i „Slawia“ pieśń na cześć Kalderona, za którą otrzymał nagrodę, tudzież „Dagmar“ i wspomniana „Slavia“ wyszły oddzielnie w *Bibliotece gabinetowej*. Drugim jego zbiorkiem poetycznym jest „Nowá Sbírka werszowaných prací“ (1880 r.). W 1884 r. wyszła bajeczka humorystyczno-satyryczna p. t. „Petrklíče.

Przerwawszy na tem wzmiankę biograficzną o S. Cz. złożymy czytelnikom sprawozdanie z najnowszej jego pracy p. t.: *Prawda*, bajka wierszowana i drobne poezye.

Wygnana przez ludzi prawda obrała sobie mieszkanie w krainach pozasłonecznych. Zamek jej w gruzy i rumowiska się rozsypał. Tuż w pobliżu zwalisk wspaniałego pałacu zasiadła w purpurę ubrana bogini kłamstwa, której niezliczone tłumy czciciele ciągle palą kadzidła. Małej garstce wybranych z narodu sprzykrzyły się te hołdy. Uproszony przez tych wybrańców poeta, zaklęciem w natchnieniu ducha wywołuje z niebios boginię prawdy, która, widząc w zapale i łzach pieśniarza odblask swojej zorzy promiennej, przyrzeka, iż przez czas krótki zagości na ziemi. Pełen radości poeta zawiadamia oczekującą u zwalisk gromadkę, iż bogini wkrótce obecnością swoją uszczęśliwi ujarzmionych przez kłamstwo ziemian. Wieść o tem staje się powszechną i wśród ludu. Wtem jak grom spadło coś z niebios, napełniając przestrzeń światłem gorejącem, jak ogień zorzy, a wśród szumu i łoskotu skrzydeł zagrzmiał głos potężny: „Prawda między nami gości!“ Z przejętych trwogą ust zgromadzenia wydobył się wykrzyk jednozgodny: „O witaj, pramocna, święta!“ Jeden z obecnych, który zasługami przed innymi celował, w imieniu ogółu składał łaskawej bogini gorące dzięki. Garstka wybranych udała się do świątyni, gdzie rozpoczął się wiec, zagajony przemową owego zasłużonego męża. Mimo oporu radykalisty, uchwalono, aby przyodziać boginię w oznaki królewskości, lecz niebianka nie przyjmuje purpury, oznajmiając, iż chce pozostać nagą. Wtedy starszy zgromadzenia podaje wniosek, aby prawdę otoczoną licznym pocztem zbrojnych umieścić w szczelnie zakrytej karocy i w ten sposób przeprowadzić na zamek, gdzie, posadziwszy boginię na tronie, pozamykano wszystkie drzwi i okienice. Prawda jednak, będąc, istotą lotną, opuszcza niewidzialna zamek i po za miastem, ponad jeziorem, w pięknej nocy księżycowej, spotyka się z poetą, z którym postanawia wspólnie zwiedzić miasto. I ujrzeli starożytny kościół, napełniony pobożnymi, do którego jednak prawda nie weszła.

Pod wspaniałemi karyatydami jakiegoś pałacu skupiła się garstka nędzarzy. Z turkotem zajeżdża świetna karoca, z której jak łania wyskoczyła w bogatym stroju dziewica, a nie mając przy sobie pieniędzy, zdejmuje z szyi sznur pereł i rzuca zgłodniałym żebrakom. Poeta nazywa ją „aniołem,“ lecz bogini radzi pieśniarzowi, aby dla stwierdzenia słów swoich wstąpił z nią do pałacu, gdzie w wspaniałych komnatach przesyt, nuda, pochlebstwa i kłamane zagościły uczucia. Dziewica, obdarzająca przed pałacem jałmużną, w zalotnym stroju bachantki i rusałki, z nastaniem mroków nocnych, oczekuje w odosobnionej komnacie na miłosną schadzkę. W domu mieszczańskim słychać jeno niezręczne naśladowanie arystokracyi, obok grubej nader ciemnoty. Na poddaszu żebrak obwija sobie nogi łachmanami, ukrywa rękę, pozostawiając pusty rękaw, przedstawiający udane kalectwo obłudnika. Prawnik zagłębiony w kodeksie szuka kruczków dla obejścia paragrafu prawa. Na rynku, pod posągiem wolności w frygijskiej czapce, demagog, szukający popularności u ludu dla łowienia ryb w mętnej wodzie, rozprawia o braterstwie i prawach ludzkości. Spekulant, wojak, ksiądz, pastor i rozmaici szalbierze prawią o potrzebie rozkrzewiania oświaty wśród biednego ludu, ukrywając pod osłoną poświęcenia cele zbyt poziome. Poeta, opiewający nieznane sobie bóle i tęsknoty, wrzący gniewem, zamierza lutnię utopić w głębiach morza, lecz prawda wstrzymuje go od tego kroku i ginie w obłokach.

Na opuszczonym w zamku przez prawdę tronie pozostał jeno napis gorejący płomiennemi literami.

„Nie masz tu dla mnie miejsca, ujrzycie mnie w przyszłości, gdy prostota w sercach zapanuje.“

Stroskani zniknięciem prawdy ojcowie miasta, zdarzenie to postanowili zachować w tajemnicy.

Część druga p. t.: „Drobné básnie“ (poezye) zawiera 14 wierszyków, z których wyróżniamy: „powój,“ „skowronek,“ „król i błazen“ tudzież „do poetów perskich.“ Wierszyki te tchną świeżością uczuć i myślą postępową.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA ROSYJSKA.
IWAN AKSAKOW.

Zmarły w dniu 9 lutego główny publicysta moskiewski i redaktor *Rusi*, Iwan Aksakow, pochodził z rodziny, której członkowie zajmowali wybitne stanowisko w piśmiennictwie rosyjskiem, i byli pionierami kierunku, noszącego nazwę słowianofilstwa. Ojciec jego Sergiusz, autor *Wspomnień Bagrowa*, brat Konstanty i sam wreszcie Iwan należą do znakomitości literackich, oprócz nich zaś naliczyć można kilku innych jeszcze autorów tego nazwiska. Iwan zajmie ważne miejsce w dziejach umysłowości rosyjskiej. Charakterystyka jego piśmienniczej i obywatelskiej roli byłaby ze wszech miar pożądaną dla polskich czytelników, nie mamy jednak ani sił, ani możności sprostać temu zadaniu; ograniczymy się więc tylko na kilku wiadomościach, dotyczących jego życia i na zaznaczeniu własnych lub cudzych sądów o działalności jego i stronnictwa, którego był najwybitniejszym przedstawicielem.

Urodzony w gubernii orenburskiej w r. 1823, Aksakow ukończył t. z. szkołę *prawowiedienja* i jak większość ludzi inteligentnych w Rosyi, został urzędnikiem. Nie szukał wszakże łatwej karyery, owszem przyjął posadę w sądownictwie na prowincyi i wspomnienia z tej epoki życia posłużyły mu później do świetnej krytyki „starych sądów.“ W czasie wojny krymskiej wstąpił na krótko do wojska i już od 1858 r. poświęca się dziennikarstwu. W 1858 r. obejmuje redakcyę *Ruskiej Biesiedy*, później wydaje gazetę *Parus*, zamkniętą z rozkazu władzy po wyjściu trzech numerów. Od r. 1861 redaguje *Dień*, który w 1865 r. za artykuł o sprawie polskiej zostaje zabroniony. W 1867 wydaje gazetę p. t.: *Moskwa*, dziennik ten w ciągu 7 kwartałów dostaje 9 ostrzeżeń i trzykrotnie ulega zawieszeniu, wreszcie z rozporządzenia Rady państwa przestaje wychodzić. Przed wojną turecką Aksakow staje na czele komitetu słowiańskiego, wskutek znanej mowy o traktacie berlińskim zmuszony jest opuścić Moskwę i wyjechać na wieś. W 1880 r. wraca i od 1881 r. wydaje gazetę *Ruś*, z półroczną przerwą.

Przytoczyliśmy powyższe szczegóły z życia Aksakowa, ponieważ oświetlają one właściwie charakter jego i działalności. Z pozoru sądzićby można, że był to zuchwały opozycyonista lub wichrzyciel, tymczasem Aksakow znany jest jako gorący patryota rosyjski, gorliwy wyznawca zasady jednowładztwa, przeciwnik wszelkich zachcianek liberalnych i wszelkich tajemnych

knowań. Najlepszem świadectwem jego lojalności jest telegram cesarski, wysłany do wdowy z wyrażeniem współubolewania i łaskawą oceną działalności zmarłego. Przeszkody, jakie spotykał na swej drodze, dają pochlebne świadectwo o jego charakterze: był to człowiek szczery, który nigdy nie wahał się wypowiedzieć głośno swych przekonań. Ta bezwzględna szczerość zjednała Aksakowowi szacunek nawet w gronie przeciwników politycznych i wobec czytelników polskich wyróżnić go powinniśmy od tej grupy dziennikarzy rosyjskich, z którą często bardzo wspólnie przeciw nam występował.

Aksakow był umysłem na wskróś rosyjskim i ta wyłączność narodowa, która przeszkadzała mu zostać prawdziwym słowianofilem, nadawała poglądom jego na sprawy własnego kraju niezaprzeczoną siłę i trafność. Poglądów tych nie umiał on nigdy zformułować; po za świetną i dosadną krytyką zdania jego były mgliste i niejasne, ale z powodzi frazesów można było wyłowić kilka myśli głębokich, z których znaczenia sam autor świadomie nie zdawał sobie sprawy. Nie mówię tu o propagandzie „powrotu do domu,“ chociaż i w tem haśle zawiera się pewna doza prawdy, ani o mistycznych teoryach posłannictwa Wschodu w przeciwstawieniu ze „zgniłym“ Zachodem, ani o niejasnych formułach „jedności władzy z ludem“ itd., zwracam tylko uwagę na zasadniczą myśl działalności Aksakowa, która nieświadomie może dla autora wyraża się w dążeniu do decentralizacyi. Kiedy natarczywemi pytaniami zmuszano go do określenia programu polityki wewnętrznej — Aksakow wyrzekł, że podstawą ustroju narodowego winien być „powiat“ (ujezd). Nigdy nie udało mu się wyrazić jasno myśli swojej w tym względzie, ale z luźnie wyrzeczonych zdań przekonać się można, że intuicyjnie odgadł on konieczność decentralizacyi, chociaż cofnąłby się może przed urzeczywistnieniem tego programu. Sztucznym formom ustroju państwowego przeciwstawiał on zawsze samorząd ziemski, nie jako istniejącą lub wymarzoną organizacyę, ale jako przyrodzoną „siłę ziemi,“ wrogą wszelkiej reglamentacyi urzędowej. Aksakow był nieubłaganym nieprzyjacielem biurokracyi, której przypisywał wszystkie klęski wewnętrzne i zewnętrzne, a więc i nieprzyjacielem Petersburga i całej inteligencyi urzędniczej, „która oderwała się od ludu i ziemi.“ Nienawiść jego do liberalizmu w znacznej części tłomaczyć się daje tą okolicznością, że liberalizm rosyjski hołdował zawsze biurokracyi i centralizacyi.

Nie możemy wdawać się w ocenę politycznej działalności Aksakowa, doprowadziłoby to nas bowiem do krytyki tego kierunku, który nosi nazwę słowianofilstwa. Przytoczymy tu tylko kilka uwag wiedeńskiej *Presse* (według *Wieku*), trafnie charakteryzujących stanowisko zmarłego publicysty i zwrot, jaki zaszedł ostatnimi czasy w polityce Rosyi.

„Szeregi wpływowych słowianofilów przerzedzają się ciągle, a ci, co zostali, od lat wielu już przerzucili się na stronę praktyczną, trzeźwą, gdy spostrzegli, że i Europa i słowianie ideałom tym niezupełnie są chętni. Tak więc Katkow w Moskwie, a Meszczerski w Petersburgu w ciągu obecnej fazy kwestyi wschodniej, zalecali *vis á vis* Serbii i Bułgaryi całkiem już rosyjską a nie słowiańską politykę. Nikt Aksakowa nie słuchał, nikt nie rozumiał, bo każdy czuł, że uczeń Chomiakowa nie licuje z dniami, które obecnie przeżywamy. Jako *credo* polityczne i kulturne, panslawizm przeżył się i jeżeli ma jeszcze przed sobą co do spełnienia, to może rolę agitacyjną.

Tylko Aksakow pozostał do ostatnich chwil wiernym swym zasadom z przed lat 20. Do ostatniego tchnienia złorzeczył petersburskiej biurokracyi i powstawał gwałtownie w swej *Rusi* na dyplomacyę.

Panslawizm nie może osiągnąć swego celu ani w narodowym i literackim, ani w kulturnym i politycznym kierunku, gdyż nietylko wyszedł z fałszywego założenia, ale oprócz tego chciał oszukać zwolenników swoich co do ostatecznych celów apostołów moskiewskich. Panslawizm mimo całego swego idealizmu i fanatyzmu był w połowie złudzeniem, a w połowie wielkiem kłamstwem. Złudzenie pochodziło z nieznajomości rozwoju i prawdziwie żywotnych interesów pojedynczych ludów słowiańskich; kłamstwo polegało na tem, że koniec końcem był on nie panslawizmem, ale panrusyzmem. Złudzeniem była ta mylna konkluzya, że wszyscy słowianie, w zamian za dokonane lub przyrzeczone wyswobodzenie swoje z pod jarzma obcego, gotowi są na na wieki zostać Rosyi satelitami; kłamstwem było to, że oswobodzenie słowian nastąpiło lub nastąpi, ze względu na nich samych, a nie w celach potęgę rosyjską mających na oku. A ponieważ panslawizm byl tylko złudzeniem i kłamstwem, więc nie mógł pozostać żywotną zasadą reformy; był zawsze tylko środkiem agitacyi politycznej.

Panslawiści rosyjscy nie dopatrzyli przedewszystkiem tego, że środkowo europejscy, północni i południowi sławianie nie są ludami tak znów politycznie i cywilizacyjnie zacofanymi, żeby w braku czegoś lepszego, każdej chwili byli gotowi i czuli się szczęśliwymi, mogąc na rzecz niezależności i indywidualności rosyjskiej swoją własną ofiarować. Aksakow i jego zwolennicy zapomnieli zupełnie o tem, że polacy, czesi i serbowie posiadają starszą literaturę i cywilizacyę niż rosyanie; że indywidualne narodowe życie tych narodów tak dalece się już pod każdym względem skonsolidowało, że o wyzuciu go z jego właściwego etnograficznego charakteru myśleć nawet niepodobna. Do tego dodać należy że panslawiści nieustannie kładli nacisk na grecko-prawosławny charakter swoich ideałów, tak, że owo zamalgamowanie ludów, do którego zdążano, bardzo rychło o różnice wyznaniowe rozbić się musiało. A im bardziej pod wpływem nowożytnej zasady narodowości rozwijały się pojedyncze indywidualności, tem większą stawała się etnograficzna przepaść między rosyanami i środkowo-europejskimi słowianami i tem bezsilniejszym okazywał się panslawizm pod względem narodowym i cywilizacyjnym.

Realne przeświadczenie o takich uczuciach i prądach wśród nierosyjskich słowian, już od wielu lat tak w Petersburgu jak w większej części Posyi, wywołało panslawizm z obiegu. Opinia publiczna w cesarstwie rosyjskiem już od dawna odwróciła się od mrzonek slawofilskich i domaga się jedynie „rosyjskiej,“ a nie żadnej innej polityki. Coraz mniej mówią tam o oswobodzeniu braci i pocieszają się po ich niewdzięczności, za którą potępiać ich byłoby naiwnością lub nieprzebaczonym błędem.“

Do uwag tych, których bezstronność zaznaczyła prasa rosyjska, na razie nic dodać nie mamy.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Człowiek mile w świecie widziany.—Jego przyszłość.— Krzywienie moralności publicznej. — Przedmiotowość sprawozdań sądowych. — Preparaty krytyczne, jako wzory dla reporterów. — Anatomia w polityce. — Propaganda zapomocą szczepienia ospy. — Baczność cór Germanii. — Bal polski w Petersburgu. — Apostrofa *Kuryera warszawskiego* z głową do góry.

Pan X., człowiek „elegancki i mile widziany w świecie,“ ukradł komuś pugilares z kieszeni palta w cukierni, a ponieważ za pośrednictwem *Kuryera warsz.* rozpoczął układy z poszkodowanym, więc go wyśledzono po piśmie i ujęto. Naturalnie dzienniki nie z tego „świata,“ którego złodzieje posiadają przywilej używania maski w „poważnej“ prasie warszawskiej (chłopi, żydzi, robotnicy, schwytani na przestępstwie ukazywani są z odkrytą twarzą, imiennie) pakują go do wspólnej dla wszystkich rzezimieszków kozy, należące zaś do „świata“ wydają tylko smutne: ach! O pierwsze on, naturalnie, jako człowiek „dobrze wychowany,“ nie dba, lecz „ach“ drugich go boli. Pragnąłbym go pocieszyć w strapieniu — a na szczęście pocieszyć mogę. Znam bowiem jego przyszłość, która wcale nie jest rozpaczliwą. Od sądu publicznego bohater ten się nie wywinie, ale w sprawozdaniach gazet z procesów występować będzie tylko jako Z. a jeżeli nawet pójdzie do więzienia, poniesie z sobą szerokie współczucie. Bo przecie bronić go będzie nasz Cycero, który „świetną, porywającą i przekonywającą mową“ dowiedzie jego niewinności. Tylu morderców, rabusiów, złodziejów, oszustów powędrowało już do więzień, ciężkich robót i miejsc karnych Syberyi, zostawiając za sobą wrażenia „świetnej, porywającej i przekonywającej mowy“ Cyceronów, „obalających sztuczne rusztowanie oskarżenia,“ że i ten, nie gorszy od innych, może liczyć na dzielną obronę adwokata i sympatyę publiczności.

Jeżeli, czytelniku, dostrzegasz w tem wszystkiem jakiś punkcik moralnego niezdrowia, to nie omyl się we wskazaniu jego przyczyny. Że złodziej kradnie — objaw naturalny, że adwokat broni go umiejętnie — wysiłek zrozumiały, ale że prasa lekkomyślnego gatunku w sprawozdaniach sądowych nie trzyma się ścisłej przedmiotowości i wysławiając adwokata, pośrednio usprawiedliwia przed opinią złodzieja — to ani naturalne, ani zrozumiałe, ani roztropne. Bezstronność jest tu koniecznym warunkiem nietylko sprawiedliwości, ale i pedagogii społecznej — warunkiem, sumiennie przestrzeganym w poważnej prasie zagranicznej. Inaczej być nie może. Przypuśćmy, że ja z tobą czytelniku stajemy przed sądem, który wyrokuje na twoją korzyść. Ja nie potrzebuję w sprawozdaniu niczego dodawać, dość gdy powtórzę jedynie mowę adwokata mojego (ochrzciwszy ją zaszczytnymi tytułami) a pominę lub ogólnikowo podam — twojego. Wtedy wszyscy inni czytelnicy będą przekonani, żem ja bielutki anioł, ty zaś najczarniejszy z dyabłów. I gdybym nawet kiedykolwiek został oskarżony o wycinanie słowikom języków, jeżeli w sprawozdaniu sądowem przytoczę wyłącznie lub głównie dowodzenie mojego adwokata, tysiące ludzi zdołam przekonać, że tylko wycinałem z brody białe włosy przyjacielowi, nigdy zaś słowika nie widziałem.

Reporterzy nasi nie są wcale czczicielami występku, ale są czcicielami wymownych obrońców, którym przy każdej sposobności składają publiczne hołdy, nie bacząc na to, że takie owacye błąkają opinię społeczną w wyrokowaniu moralnem. Ktoś słabo ukształcony, całkowitego przebiegu sprawy nieznający, wyczytawszy w dzienniku zachwyty nad „świetną i porywającą“ obroną, przychodzi do prostego wniosku: oskarżony nie winien, a sąd skazał go niesprawiedliwie. Najoczywistszy złodziej lub truciciel wyrasta na męczennika z ogoloną do połowy głową. Gdyby człowiekowi, odciętemu zupełnie od wszelkich stosunków ze światem, dano tylko do czytania niektóre z naszych pism, byłby on najmocniej przekonany, że na 10 wypadków w 8 sąd skrzywdził ludzi niewinnie (dwa wyroki sprawiedliwe przypadłyby na mniej znanych adwokatów). Przeciętne nasze sprawozdanie sądowe nie jest objektywnem streszczeniem procesu, ale reklamą dla jakiegoś Cycerona. Nigdy, powtarzam: nigdy w poważnych gazetach zagranicznych nie zdarzyło mi się spotkać takich uwag, jakie u nas są stereotypowemi: „po prokuratorze zabrał głos obrońca podsądnego X., który z właściwą sobie mocą argumentacyi, w długiej, świetnej, porywającej mowie“ itd.; tam tylko przytaczają, co p. X. po-

wiedział, pozostawiając czytelnikowi wolny wybór zdania i chwalby.

Upominając się o sprawiedliwość, nie mogę jej gwałcić i zamilczeć o jednej okoliczności, łagodzącej winę reporterów sądowych. Wszakże i oni mają krew z krwi naszej, która — jak wiadomo — zawsze i wszędzie ma odrazę do ścisłego objektywizmu. Bo i czemże jest większa część naszych recenzyj naukowych, literackich i artystycznych? Obrabianiem książki lub utworu według pewnego założenia. Ta sama noga ludzka inaczej wyglądać będzie przygotowana do uwydatnienia tętnic, inaczej jako preparat mięśni lub nerwów. Sprawozdania zaś nasze są zwykle preparatami anatomii krytycznej. Jednemu potrzebne są zalety, drugiemu wady, tamten uwydania nerwy, ten — mięśnie. Dopiero skoro czytelnik sam pozna dzieło, doznaje takiego wrażenia, jak gdyby mu pokazano człowieka, z którego oglądał preparaty. W przedstawieniu pisma A. autor X. ma postać szkieletu, w przedstawieniu pisma X. tenże X. posiada ciało bez kości. Nieraz po przeczytaniu recenzyi, idziesz do teatru i doznajesz zdumienia: wprawdzie krytyk pokazywał ci coś podobnego, ale w jego preparacie tętnice nastrzyknięte były cieczą niebieską i ogołocone z mięśni, a tu widzisz w nich krew czerwoną i obfite ucieleśnienie. Czemuż podobnych robót anatomicznych mieliby sobie odmówić reporterzy?

Sięgnąwszy dalej, mógłbym wynaleźć dla nich drugą okoliczność łagodzącą aż w sferze polityki. Artykuły wielu gazet niemieckich są zupełnie podobne do naszych sprawozdań sądowych z tą tylko różnicą, że zamiast adwokata, zupełnie unicestwianego, wynoszony jest prokurator. Jeśli je czyta papuas, wierzy stale, że gdy Bóg stworzył: wilka, lisa, szarańczę, filokserę, najzłośliwsze bakterye, pomyślał chwilę, co by jeszcze dać światu gorszego i ulepił z najmarniejszej gliny — polaka. Jest to dziś twór tak niebezpieczny, że ani ziemia, nosząc go, nie może być przy biegunach okrągłą, ani ludzkość spokojną, ani księżyc świecić ciągle pełnią, ani słońce nie zasłaniać od czasu do czasu swej tarczy. Gdy jedna z gazet rosyjskich (*Swiet*) lekko napomknęła, że nas możnaby przerobić, od zgrozy — jak powiada *Wiek* — ścięło się w żyłach *Pet. Zeitungu* wszystko piwo. Pojmujemy tę zgrozę, wiedząc, że czwartym projektem praw wyjątkowych przeciwko polakom w Prusach jest pozbawienie ich prawa ...szczepienia ospy. Zauważono bowiem, że lekarze polacy przy tej operacyi szerzą szkodliwą dla państwa propagandę. Niech w oczach zalzawionych trzema poprzednimi projektami ten czwarty zapali promienie szczerej wesołości, bo trysnął z najczystszego, chociaż mimowolnego humoru. Agitacya polityczna i groźna potężnemu państwu za pomocą... ospy — to — jak niemcy mawiać zwykli—*colossal!* Odnośny wniosek wypłynął z następującego rozumowania. Lekarz polski szczepi niezawodnie limfę, zbieraną z krów polskich, ktorych duże rogi i niesforne wierzgania przy dojeniu są znane; skutkiem tego wprowadza on do organizmów ludności usposobienia rewolucyjne. O, niech się strzegą Krapulińskich dobroczynne córy Germanii i niech zasłonią się przeciw ich zalotom tem nowem prawem!

A ja ciągle wierzę, że polityka pruska nauczy polaków akurat tego, o co ich oskarża. Trudno wprost przypuścić, ażeby którykolwiek z nich w Poznańskiem mieszał patryotyzm do limfy, ani to żadnemu pewnie na myśl nie przyszło. Tymczasem gdy im podsunięto tak oryginalny sposób propagandy — kto wie! Wogóle dla rządu pruskiego uczuwam coraz głębszą wdzięczność za tyle pożytecznych lekcyj. Jak on teraz troskliwie się stara, ażeby w najchłodniejszych, przemarzłych duszach rozpalić ogień uczuć obywatelskich! A takich dusz było u nas za wiele.

Przez dwadzieścia latostatnich mieliśmy kilka programów: pracę organiczną, grunt prawny, stańczykowstwo, liberalizm, stan czwarty, rok obecny przyniósł nam nową chorągiew polityczną z godłami balu. Po festynie wiedeńskim, którego wpływ na losy Europy i ks. Bismarka jest dziś już chyba dla wszystkich widoczny, nastąpił bal polski w Petersburgu, którego echa również przyniósł nam telegraf. Że i ta zabawa z mazurem (chociaż ze znacznie słabszym udziałem dyplomacyi) nabawiła newralgii kanclerza niemieckiego, nikt nie wątpi. Z drugiej bowiem już strony dowiaduje on się, że my pomimo wszystko na złość jemu tańczymy i że zapomocą nóg odeprzemy wszelkie zamachy. Na nieszczęście wielkorządcy Prus karnawał tegoroczny jest niezwykle długi i daje nam czas do pokrzyżowania wszelkich planów rządu pruskiego. Za tydzień, za dwa „żelazny książę“ padnie w walce pokonany i naśladując Juliana, zawoła: ty zwyciężyłeś Fikalski!

. . . .

Kuryer warszawski opowiada następującą „wędrówkę paszkwilu.“ Przed miesiącem otrzymał on list, podpisany przez wójta gminy z pewnej miejscowości w Łomżyńskiem, donoszący mu o skąpstwie księdza tamtejszego, który zamiast koni zaprzągł raz do sanek dwu dziadów kościelnych. Zapytany przez redakcyę wójt, wyparł się listu. Według *Kuryera* fałszerz podpisu musiał ze swą legendą do wielu drzwi kołatać daremnie, aż one nareszcie otworzyły się przed nim w naszem piśmie. „Widocznie *Prawda* — dodaje nasz dobrowolny Mentor — uważa za zbyteczne sprawdzać bodaj tylko prawdziwość nazwisk osób, których donieśienia za wiarogodne uznaje i czytelnikom swoim powtarza.“ Ile razy *Kuryer warszawski* spogląda na *Prawdę* z góry, tyle razy przekonywa nas, że głowę zadzierać lubi. Schyliwszy się ku niemu całą naszą lekkomyślną małością, wyznajemy pokornie: 1) że skoro ogłasza lub zaznacza listy od złodziejów, znalezione w swej skrzynce, mógł byłrównież ostrzedz inne pisma przed fałszerzem wiadomości; 2) jeżeli tak ściśle bada każdą rzecz, winien był przed swem wystąpieniem sprawdzić, czy my zostaliśmy okłamani przez „wójta gminy;“ 3) jeżeli zajął się wyjaśnieniem, obowiązany był podać rezultat swego śledztwa nietylko co do autorstwa listu, ale i co do prawdziwości faktu. Tego wszystkiego nie zrobił, bo mu szło wyłącznie o preparat z *Prawdy*. Nie charakteryzując bliżej tego preparatu znanej metody, odpowiemy tyle: doniesienie imienne odebraliśmy nie od żadnego wójta, ale od pewnego urzędnika z Warszawy, którego nazwisko, jeśli sam nie poświadczy swego autorstwa w *Kuryerze*, w jednym z następnych numerów podamy. Naturalnie oddaleni od miejsca wypadku, nie możemy w tej chwili rozstrzygać o wierności doniesienia, chociaż nie odgadujemy celu fałszerstwa. A jakkolwiek wiadomość była podana w naszem piśmie (nr. 8 Na widnokręgu) bez nazwisk miejsca i osoby, żałowaliśmy szczerze mimowolnego udziału naszego w pokrzywdzeniu człowieka. Nie jest to ani rzemiosłem *Prawdy*, ani jej intencyą. Za dużo bowiem widzimy ludzi złych, ażebyśmy chcieli ich kłamstwem mnożyć. Czy cudzej rzec usłużyliśmy w tej robocie, powiemy czytelnikom po zbadaniu rzeczy. W każdym razie *Kuryer warszawski* musiałby wyrzucić ze swego sumienia wiele fałszywych doniesień, ażeby go nasze przeważyły.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Konkurencya amerykańska zwalona z piedestału. — Komu i czemu przypisywać należy upadek rolnictwa. — Potrzeba uważnego rozglądania się. — Cywilizacya i barbarzyństwo, czyli zając i człowiek. — Czego chce od nas ks. proboszcz.

Dzięki niedawno wynalezionym i grubo podkreślonym groźnym skutkom współzawodnictwa zaatlantyckiego, mieliśmy przynajmniej jedną pociechę, co prawda, lichą, ale wystarczającą od biedy na te ciężkie czasy. Poznaliśmy przyczynę upadku rolnictwa i uspokoiliśmy się bądź to na zasadzie, że głową muru nie przebijesz, bądź też w złudnej, chociaż wiele obiecującej nadziei, że „i Amerykę kiedyś dyabli wezmą.“ Dla artykułów dziennikarskich lub też dla mówek mniej lub więcej publicznych wynaleziono nawet kilka zwrotów początkowych, powtarzających się stale: „w ciężkiem przesileniu ekonomicznem, jakie dotknęło kraj cały,“ „wobec konkurencyi amerykańskiej“ itd. co ułatwiało wielce pisarską i oratorską twórczość. Tymczasem bliższe poznanie warunków naszego rolnictwa i handlu okazuje, że jakkolwiek odczuwamy wpływ amerykańskiego współzawodnictwa wraz z całą Europą, zboże krajowe dlatego głównie niema kupców, że sami sprowadzamy mąkę zagraniczną lub rosyjską. Niegdyś, przed rokiem może, zwróciłem już uwagę na ten stan rzeczy, ale spostrzeżenie to nie wywołało żywszego zainteresowania; cieszy mnie wszakże, iż chociaż obecnie „poważni“ ekonomiści tutejszokrajowi przetarli zaspane oczy i zaczynają nietylko patrzeć, ale widzieć nawet dosyć ciekawe rzeczy. *Dziennik łódzki* dowiaduje się np., że Łódź spożywa głównie mąkę zagraniczną (austryacką), drugie miejsce zajmuje rosyjska, a dopiero trzecie krajowa. Na zebraniu młynarzy wyraźniej jeszcze zarysowały się rozmiary współzawodnictwa rosyjskiego i zagranicznego. Z powodu tego zaczęły się rozprawy w dziennikach, zabrali głos specyaliści i jakkolwiek wygłaszanemi zdaniami, kłócą się z sobą jak dorożkarze, można przecież dziś już wyciągnąć pewne wnioski i zaznaczyć fakty nieulegające żadnej wątpliwości.

Najgłówniejszą przyczyną obniżki cen zboża u nas jest olbrzymi przywóz pszenicy, żyta i mąki z wschodnich i środkowych gubernij Cesarstwa. Jakkolwiek zarządy kolejowe nie dzielą się żadnemi sprawozdaniami z publicznością, można się jednak przekonać o powyższym fakcie chociażby drogą prywatną. Słusznie powiada kronikarz *Biblioteki warszawskiej* (o czem i my mówiliśmy zresztą niejednokrotnie), że wytwórczość rolna Królestwa niewiele przewyższa potrzeby miejscowe, jeżeli więc ziemiopłody nasze nie mają zbytu, to przyczyną tego jest olbrzymi dowóz zboża z okolic żyzniejszych i taniej produkujących. Wyznania szczere pp. młynarzy stwierdzają nasze słowa.

„Upadek rolnictwa przypisać powinniśmy przedewszystkiem *polskim* zarządom kolejowym“ — dodaje przytoczony wyżej kronikarz, gdyż zarządy te „w poczuciu filantropijnem i uniesieniu obywatelskiem tak ułożyły taryfy, że przywóz worka mąki z pod Jelca lub Orła na rynek warszawki, tańszym jest niż korca sandomierki.“

Młynarze znowu na swoją obronę dodają, że pszenica ukraińska lub też jara rosyjska posiada więcej glutenu od krajowej, dlatego mąka z niej jest bardziej poszukiwana zagranicą. Oprócz tego gatunki pszenicy rosyjskiej mają szklistą powłokę i lepiej nadają się do wyrobu mąki w młynach t. z. walcowych, które zastępują dzisiaj powszechnie młyny starego systemu. Zboże polskie posiada wprawdzie niektóre

cenne przymioty, ale one nie wystarczają dla zapewnienia mu pierwszeństwa przed ziarnem sprowadzanem.

Znaleźli się już doradcy, którzy zalecają rolnikom naszym zmianę gatunków ziarna do siewu. Byłby to krok zbyt lekkomyślny, gdyż pociągnąłby za sobą znaczne koszta bez pewności pomyślnych rezultatów. Procent glutenu w ziarnie zależy głównie od warunków klimatycznych, to samo powiedzieć można o twardości powłoki. Pszenica węgierska, która posiada te same własciwości, wyradza się u nas już po latach kilku. Nie trzeba zapominać także, że Rosya produkuje wyłącznie prawie pszenicę jarą, której wysiew w gospodarstwach naszych może być tylko bardzo nieznacznym. Przedewszystkiem więc należałoby wykonać próby szczegółowe, lub też o dokonanych już podać publicznie wiadomość.

Kiedy to groźne a rzeczywiste współzawodnictwo wytwórczości rosyjskiej przeciwstawimy skargom fabrykantów moskiewskich, którzy płaczą, że rujnuje ich przemysł polski, to wtedy dopiero wyjaśnimy sobie, kto, komu i ile dopłaca. Zestawienie to rzuca również ciekawe światło na politykę zarządów dróg żelaznych i w ogóle na stosunki ekonomiczne u nas. Jeżeli taryfy kolejowe wspierają przemysł polski, czynią to z krzywdą rolnictwa krajowego. Zdanie to można rozszerzyć: jeżeli przemysł rozwija się u nas, to w dzisiejszym stanie rzeczy i wobec tego kierunku, jaki wytwórczość przemysłowa przyjmuje, dzieje się to z jawną stratą dla interesów ludności rolniczej i na jej koszt. Bieda gnębi nietylko szlachcica, daje się ona we znaki i chłopu; obaj zaś, „wielki i mały" rolnik, ze zmniejszonego dochodu ponosić muszą coraz większe wydatki na kupno niezbędnych przedmiotów, których cena, dzięki wzrostowi wwyż i wszerz opłat celnych — podnosi się stale. Dziś już rodzina chłopska średnio zamożna płaci pośrednio rocznie mniej więcej tyle, ile wynosi składka roczna członka Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Jednakże obłęd protekcyjny nie skończył się jeszcze i, co dziwniejsza, że te pisma, które służyć mają interesom rolnictwa, przyklaskują chętnie każdemu projektowi podwyżki cła, jeżeli on tylko otwarcie i wyraźnie nie ma na celu nowego, bezpośredniego opodatkowania ludności rolnej.

Nie miejsce tu rozprawiać o złych i dobrych stronach protekcyonizmu, pragnę zaznaczyć tylko właściwą nam niekonsekwencyę. Interes wspólny ludności rolniczej kraju, bez różnicy klas (zgoda taka zdarza się nie często) stoi w wyraźnej sprzeczności z zasadami protekcyonizmu, pomimo to, a może dla tego patentowani obrońcy i zawzięci szermierze praw i potrzeb rolnictwa chętnie witają coraz to nowe zachcianki celne, które wyrosłyby już olbrzymio, gdyby rząd od czasu do czasu nie poskramiał odmową tych nieumiarkowanych apetytów. Miejmy wszakże nadzieję, że i ta łuska spadnie kiedyś z oczu „poważnych" mężów, bo już i teraz znajdują się ludzie (nawet w prasie), którzy zaczynają rozglądać się uważnie w tłoku różnych projektów: podwyżek, zakazów itp. i krzywią się nawet w chwili największego ożywienia orgii celnej.

Należałoby nieraz przyglądać się uważniej, zanim wypowiemy zdanie lub weźmiemy się do jakiej roboty. W ubiegłym tygodniu zaznaczono kilka takich polskich skarg po szkodzie. Oto parę przykładów. W okolicach Krzemieńca znaleziono pokłady węgla kamiennego, zawiązano więc towarzystwo i bodaj przystąpiono już do eksploatacyi kopalń, kiedy wreszcie spostrzeżono się, że produkt może nie mieć zbytu. Na Wołyniu bowiem nie ma prawie większych fabryk, te zaś, które są, opalają się drzewem, nabywanem po bardzo niskiej cenie. Do Warszawy węgiel wołyński nie pójdzie, gdyż mamy tu szląski i dąbrowski, na Ukrainie taniej wypada węgiel doniecki. Tak przynajmniej ludzie mówią, trzebaby więc sprawdzić, czy mają słuszność i lepiej tymczasowo zaniechać eksploatacyi, aniżeli narażać się na straty. Poruszamy tę sprawę dlatego, że kapitał, który łatwo może być zmarnowanym, powstaje podobno drogą składania udziałów przez ludzi naiwnych, niezastanawiających się, czy przedsiębiorstwo posiada jakiekolwiek widoki powodzenia.

Drugi przykład. Komitet wystawy przyznał nagrody kilku włościanom za wzorowe prowadzenie gospodarstw. Sprawozdania z tego konkursu teraz dopiero wydrukowano i niektóre nagrody wywołały słuszną naganę. Pracowity, rozsądny włościanin, który z sześciu morgów doszedł do posiadania trzy razy większej ilości gruntu, który stosuje w gospodarstwie wszelkie ulepszenia praktyczne, który założył ogród, troskliwie hoduje inwentarz i podniósł dochód czysty do wysokiej cyfry, dostaje taką samą nagrodę, jak zacięty rutynista, niechcący słyszeć o żadnych zmianach, ale posiadający po ojcach „piękną chudobę." Sprawozdawca *Wieku* robi trafną uwagę, że sam odznaczony zdziwił się zapewne niemało, kiedy dowiedział się o przyznaniu mu nagrody. Jeżeli temu wydano premium za zamożność, to dziwniej jeszcze wyglądają inne odznaczenia, przyznane za „staranną uprawę roli i *czyste utrzymanie podwórka.*" lub też za wysoką normę dochodu, chociaż znaczny procent jego stanowił dochód z rzemiosła. Z przeczytania sprawozdań czytelnik, obeznany ze stosunkami wiejskimi, dochodzi do wniosku, że z wyjątkiem jednego nagrodzono gospodarstwa, które nawet do średnich zaliczone być nie mogą. Lepiej już wprost wydać było nagrody za życzliwość dla dziedzica.

Korespondenci wiejscy donoszą o ciągłem tępieniu zwierzyny i domagają się surowych kar na szkodników. Bardzo cenię szacowne zdrowie i życie „naszych czcigodnych" kuropatw i „prawdziwie polskich" zajęcy, jak również „niezłomne zasady prawa własności, które pomimo itd." życzyłbym sobie jednak, żeby przy słusznej obronie tych świętości ceniono trochę chociaż życie ludzkie, nawet i wtedy, kiedy jest ono tylko życiem chłopskiem. *Kaliszanin* opowiada, że gospodarz ze wsi Elżbietowa wyszedł ze strzelbą w pole i jakkolwiek znajdował się na swoim gruncie, trzej strażnicy leśni, którzy widocznie przeczuli złe zamiary, dali doń pięć wystrzałów. Chłop dzięki grubości kożucha nie poniósł szwanku. Nawet *Warszawskij Dniewnik* przyznaje, że objaw takiej dzikości nie leży w obyczajach ludności naszego kraju i tłomaczy się chyba wpływem pruskiego sąsiedztwa. W danych wypadku być może, szkoda tylko, że wpływ ten sięga już dosyć daleko, jak to zaznaczaliśmy kilkakrotnie i znajduje gorliwych wyznawców i obrońców. Dziwna rzecz, że zachowawcy bronią tu cywilizacyi europejskiej, postępowcy zaś oświadczają się za narodowem barbarzyństwem, które powiada, że życie zająca niewarte jest życia człowieka — zwłaszcza, iż nie chodzi o to, żeby zając ten żył, ale żeby mordercą jego był ten, kto posiada na to właściwy przywilej.

Nie jestem również księdzem, a nawet *Przegląd katolicki* nie nazwałby mnie chrześcianinem, nie mogę jednak zgodzić się z szanownym „wiejskim proboszczem," który dowodzi w *Korespondencie płockim* (zapewne zgodnie z łagodną nauką Chrystusa), „że wtedy tylko mogą mieć włościanie ogródki, *jeżeli* będą surowe kary i z *natychmiastową* egzekucyą na złodziei." Miłosierny kapłan żąda kary na wzór pruski — 5 talarów za złamanie gałązki, sprawę przeprowadza żandarm (u nas czynić ma to sołtys) wyrok wydaje i sam karę ściąga. To jedno pomoże, „wszystkie zaś względy moralne na nic się nie przydadzą." Frazes ten wymownie świadczy o doniosłości pracy w winnicy pańskie, jak wyraża się szczery ksiądz, dodając: „bo co kapłan w obecnych warunkach zrobić może," kiedy ani palenia na stosie, ani pławienia, ani nawet wyklinania itp. środków oddziaływania moralnego używać nie wolno.

Przegląd katolicki zarzuca prasie postępowej, że nie uznaje dobroczynnych wpływów na lud duchowieństwa i podkopuje jego powagę. Zarzut ten przyjmujemy na swoją odpowiedzialność i zdamy zeń sprawę wtedy tylko, kiedy ks. Jagodziński w roli komornika niebieskiego segregować będzie postępowych kozłów i prawomyślnych baranów. Tymczasem proboszcz wiejski z przykrością czyta „aż do tkliwości (tak!) nudne tyrady prasy warszawskiej i deklamacyę postępowiczów (tak!) o moralnym wpływie szanownego duchowieństwa, o słowach ojca duchownego, które padają na serce prostaczka" itd. Bardzo dowcipnie ks. proboszcz szydzi z przesadnych frazesów dziennikarskich, ale za co gniewa się na biednych postępowiczów — doprawdy nie rozumiem. Jeżeli grzeszny głos mój dojdzie do tego świętego ustronia, w którem ks. proboszcz odpoczywa po trudach kapłańskich, przekona może surowego wyznawcę teoryi zastraszenia, że pretensya jego do postępowiczów jest zupełnie niesłuszną.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Słowo warszawskie zamieszcza panegiryk dla znanego Laenderbanku, który miał niby popierać przemysł i handel krajowy, dotychczas jednak zaznaczył działalność swoją szeregiem przekupstw i brudnych szwindlów giełdowych:

„Najlepszym dowodem, jak zaszczytne zdobył sobie w świecie stanowisko Länderbanck, pozostający przeważnie pod kierownictwem obywateli naszego kraju, jest niewątpliwie częste zaciąganie za jego pośrednictwem pożyczek, mających nie samo tylko finansowe znaczenie. Zaledwie Länderbanck zeskontował serbską pożyczkę i wziął w administracyę tytoń serbski, aż tu układa się już w Brukseli o wielką pożyczkę, którą pragnie zaciągnąć nowopowstałe państwo Congo. Rzecz przeprowadzoną zostanie pod protektoratem naczelnika nowego państwa, króla belgijskiego i w tym celu udali się do Brukseli dyrektorowie „Banku dla krajów."

W warszawskim „przedpokoju" nazywa się to „działalnością obywatelską," omal że nie dobrze zrozumianym patryotyzmem.

Korespondent *Gazety Warszawskiej* pisze o ks. Dinderze:

„Ks. Dinder posiada język polski, lecz naturalnie słabo, mając mało sposobności rozmawiania po polsku. Czy jest miłośnikiem języka polskiego i czy jako arcybiskup obu dyecezyj polskich będzie mu sprzyjał? jest to pytanie, które dziś trudno rozwiązać."

poczem dodaje:

„W czasie mego pobytu w Królewcu istniało kółko polskie, składające się z akademików i innych członków polaków, tam zamieszkałych. W jednym z pamiętnych dni dla nas. kółko postanowiło zakupić mszę św. i podczas takowej śpiewać kilka nabożnych pieśni polskich, jak np.: „Kto się w opiekę poda Panu swemu" itp. Deputacya udała się do proboszcza Dindera z prośbą o zezwolenie śpiewania podczas mszy po polsku. Prośbie tej odmówił ks. Dinder. dodając. iż dotąd nigdy jeszcze po polsku tutaj nie śpiewano, oraz, że to niemiłe zrobiłoby na niemcach wrażenie. Kółko udało się piśmiennie z użaleniem do biskupa, lecz również naprożno."

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia znowu ma do rusinów galicyjskich pretensyę o to, że obojętnie lub nieprzychylnie ocenili zmarłego niedawno Aksakowa.

„Gazeta *Diło* pod pozorem nekrologu Aksakowa uznała za właściwe zwrócić się najzłośliwiej przeciwko zmarłemu i całej partyi słowianofilskiej, której *Diło* odmawia nawet prawa używania tej nazwy.

Co powiedzieć o takich bezmyślnych potwarzach, „iż rusini galicyjscy w skutku swego programu narodowego mieli w Aksakowie największego nieprzyjaciela, występującego przeciwko nam nietylko osobiście, lecz otwierającego również na oścież szpalty swego organu wszelkiego rodzaju podobnym wystąpieniom galicyjskich malkontentów i renegatów..." Albo: „Z Aksakowem uspokoił się wreszcie ten zastęp niechętnych zasiewających niezgodę pomiędzy dziećmi jednego narodu."

Widocznie *Diło* jest tym organem, który sieje niezgodę pomiędzy synami Słowiańszczyzny i dobrze przynajmniej robi, czyniąc to jawnie, gdyż w ten sposób antisłowiańskie tendencye w rosyjsko-słowiańskiej rodzinie nie przykrywają się sofizmatami, lecz same siebie ujawniają."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Konkurs dramatyczny imienia Bogusławskiego przyznał nagrodę I Stan. Kozłowskiemu za dramat „Albert wójt krakowski;" II-ą Tad. Zarembie za kom. „Minkowski," III-ą E. Lubowskiemu za kom. „Osaczony."

Ministeryum wojny kupiło za stosunkowo wysoką sumę (100,000 rs.) dobra Rokitno w powiecie lubartowskim.

Wystawa kucharsko-cukiernicza urządzona będzie w kwietniu.

Filie Banku państwa wkrótce już otwierać zaczną kredyt obywatelom ziemskim na sola-weksle.

Towarzystwo ogrodnicze posiada obecnie 481 członków, tj. o wiele więcej niż Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu.

Zakaz. Policya pruska zabroniła mieszkańcom Huty królewskiej (na Szląsku) urządzać przedstawień teatralnych w języku polskim.

Obraza. Ks. Bismark zaskarżył do sądu członka parlamentu Müncha, który wygłosił publicznie, że na monopolu wódczanym kanclerz, jako właściciel wielkiej gorzelni, zyska 80,000 marek rocznie.

Projekt ustawy Instytutu lekarskiego dla kobiet ułożony przez ministeryum oświaty otrzymać ma wkrótce sankcyę prawodawczą.

Szkodliwy projekt. Podniesiono znowu projekt zbudowania domu, w którym mieścić się mają kancelarye sędziów pokoju. Pisma brukowe popierają ten pomysł, chociaż ma on na celu jedynie wygodę adwokatów i lichwiarzy, uciążliwym zaś byłby dla publiczności, dla której przecie sądy istnieją.

Głód. W gminie Krzczonowskiej, w gubernii i powiecie lubelskim, sto kilkadziesiąt rodzin włościańskich cierpi głód, ponieważ grad wybił zboże. Z pozwolenia władzy zawiązano komitet, który zbiera składki dla nieszczęśliwych.

Odkrycie. W Atenach odkopano kilka posągów bardzo pięknej roboty, pochodzących, jak utrzymują znawcy, z epoki Fidyasza.

Bibliografia. Maks Schippel. *Nędza dzisiejsza i dzisiejsze przeludnienie* (tłomaczenie z niemieckiego).

Prasa polska. Czasopism polskich wszelkiego rodzaju, licząc już 1 wydawnictwa peryodyczne, wychodzi obecnie 250, mianowicie: w Galicyi 115, Królestwie i Rosyi 79, Poznańskiem i Prusach 45, Ameryce — 9, Francyi — 1 i Szwajcaryi — 1. W tej liczbie znajduje się pism codziennych 25, dwa lub więcej razy na tydzień wychodzących — 10, tygodników 89, dwutygodników — 62, miesięczników — 43, kwartalników i dwumiesięczników — 6 i z nieoznaczonym terminem—15. Najwięcej pism—bo 69 wychodzi w Warszawie, potem idzie Lwów — 68, Kraków — 27, Poznań — 24, Chicago — 6, Toruń i Tarnów po 4, Bytom, Cieszyn i Rzeszów po 3, w dziesięciu miastach po 2 i w 24-ch po jednemu.

Poparcie. General-gubernator kijowski widząc, że gazeta *Biesieda* wydawana w języku rosyjskim w Warszawie, może przynieść niewątpliwą korzyść dla ludności kraju połud.-zachodniego, wydał rozporządzenie, żeby prospekt tego pisma rozpowszechniony został pomiędzy włościanami przez mirowych pośredników, duchownych i nauczycieli wiejskich. Tak przynajmniej obwieszcza *Kijewlanin*.

Wiersz Göethego, napisany podobno do Mickiewicza, który pisma nasze podają jako nieznany, znajduje się w zbiorowych wydaniach dzieł niemieckich i nosi tytuł: *Do przyjaciół*, bez żadnej wzmianki, do kogo został napisany.

Dlaczego? *Warszawskij Dniewnik* dowiaduje się, że w sferach artystycznych powstał projekt wystawy obrazów Wereszczagina i pyta: „dlaczego p. Wereszczaginowi przypadła w udziale taka pochlebna uwaga i uznanie artystów polskich i publiczności, lekceważącej wyraźnie wystawy obrazów urządzane przez malarzy rosyjskich." Dlaczego? Dlatego, że Wereszczagin jest wielkim artystą, oraz że utwory jego mają zwykle ogólno-ludzki charakter.

Bezrobocia. W 1885 r. było we Francyi 49 zmów, w których przyjęło udział 17,000 robotników, w r. b. już 18 zmów. Ze 112 bezroboci w ciągu dwóch ostatnich lat — 59 wywołali sami fabrykanci obniżeniem płacy, 28 miały na celu podwyższenie zarobku a 25 powstały z innych przyczyn, takich np. jak zakaz robotnikom należenia do stowarzyszeń politycznych itp. tj. również z winy przedsiębiorców.

Śmiertelność lekarzy według obliczeń pisma angielskiego *The Lancet* dochodzi do 25·53 na tysiąc, jest więc znacznie mniejszą, aniżeli np. śmiertelność ogółu ludności w naszym kraju, ale za to znacznie większą niż śmiertelność księży (15·93‰) i prawników 20·23‰.

Zmarli. Dr. Maksymilian Zatorski, profesor uniwersytetu jagiellońskiego poseł do Rady państwa.

— J. M. Eigner znany malarz wiedeński, dowódca legionu akademickiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Rosyaninowi. Czytaliśmy, jak wydrukowano, chociaż przyznajemy, że utworzenie dwu nazwisk z jednego Bielinskij—Jasinskij skutkiem zamiany przecinka na i mogło być omyłką zecerską.

I. P. Na ilości jego wyrazów i rozmaitości ich odmian.

P. P. Wszakże wyraźnie w *Prawdzie* zaznaczyliśmy, że *Ekonomia polit.* opracowana jest przez p. Piaseckiego według dzieła zbiorowego, wydanego pod tymże tytułem przez Schönberga.

P. L. Cz. Zwracamy uwagę na ogłoszenie.

Januszowi. Bardzo dobra chęć, ale to nie poezya.

P. Wład. Gimb. w Pet. Wysłano.

M. P. Nie, chociaż obrazek (?) ma wiele zalet.

P. Bolesławowi Markor w Kijowie. Rękopis do odebrania.

P. L. Sok. w Permie. Jeśli ktoś znowu zażąda — zgłosimy się do Pani.

Sew Ster. Nie dla nas.

P. M. Dz. Bobrzyńskiego.

A. O. A jakie Pan zna języki?

J. D. w Lublinie. O francuskich nie wiemy; polskich nie ma.

A. B. P. Żadna redakcya przyzwoita nie narzuca się nikomu ze swem pismem; a żadna, nawet nieprzyzwoita, nie ma prawa żądać od Pana opłaty za przysłane numery, których Pan nie żądał. Najprostszy sposób — nie przyjmować z poczty.

Redakcya PRAWDY zawarła umowę z p. K. Bartoszewiczem, na mocy której tanie jego wydawnictwo dzieł pisarzów polskich otrzymywać mogą nasi prenumeratorowie po nadzwyczaj zniżonej cenie, a mianowicie 15 tomów dzieł: J. N. Niemcewicza (5 tomów), Jana Kochanowskiego (4 tomy), Ignacego Krasickiego (5 tomów) i Satyry Opalińskiego (1 tom), których i tak już niska cena księgarska wynosi 11 rs. 25 kop. — odstępuje p. B. dla naszych prenumeratorów za 5 rs., czyli że tom tego wydawnictwa (280—330 str. druku) wypadnie za 33 kop.

Abonenci z prowincyi zechcą dołączyć na koszta przesyłki rs. 1.

Pojedynczo można nabywać w naszej Administracyi:

Dzieła J. M. Niemcewicza za 2 rs. 25 kop.
Dzieła Ign. Krasickiego za 2 rs.
Dzieła Jana Kochanowskiego za 1 rs. 50 kop.
Satyry Opalińskiego za 50 kop.

Upraszamy o wczesne zgłaszanie się z powodu niewielkiej ilości kompletów.

Dotąd nadesłano nam tylko 14 tomów, ostatni zaś (V Niemcewicza) ma wyjść za kilka tygodni.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Февраля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.